



**„Z Powstania Warszawskiego
do KL Auschwitz II – Birkenau”**

**Panel wspomnieniowy grupy więźniów politycznych – byłych
dzieci, upamiętniający 70 rocznicę ich wygnania z Warszawy
i uwięzienia w niemieckich obozach koncentracyjnych**

Warszawa-Oświęcim 2013/2014

Spis treści

	Strona
1. Wstęp	3
2. Wprowadzenie w tematykę spotkania przez przedstawiciela organizatorów spotkania „Z Powstania Warszawskiego do KL Auschwitz-Birkenau” - Róża Krzywobłocka - Laurów, nr obozowy 83263	4
3. Panel wspomnieniowy – prowadzenie Elżbieta Sobczyńska, nr obozowy 85536)	7
Wspomnienia:	
I. Maria Kosk z domu Brzęcka „APEL 12 sierpnia 1944 roku w KL Auschwitz-Birkenau”, czyta Janina Reklajtis	7
II. Wiesława Borysiewicz z domu Kajak „Pierwsze chwile Powstania w dzielnicy Wola”	9
III. Maria Stroińska z domu Leszyńska „Dramat samotności dziecka wypędzanego do KL Auschwitz-Birkenau bez rodziców”	10
IV. Elżbieta Sobczyńska z domu Grembicka nr obozowy 85536 „Wybuch Powstania Warszawskiego i wypędzenie do KL Auschwitz-Birkenau w pamięci dziecka”	11
V. Barbara Doniecka z domu Racka, „Wypędzona z Ochoty”	16
VI. Stefan Sot „Transport i przyjazd do Auschwitz-Birkenau”	17
VII. Elżbieta Sobczyńska z domu Grembicka, numer obozowy 85536 „Obozowa sauna”	19
VIII. Róża Krzywobłocka - Laurów, Elżbieta Sobczyńska „Warunki życia w bloku polskich dzieci w KL Auschwitz-Birkenau nr 16 A, obecnie 13”	21
IX. Henryk Duszyk „Samotność dziecka na męskim lagrze w Birkenau”	24
X. Róża Krzywobłocka-Laurów „Rewir - obozowy szpital kobiecy”	26
XI. Jerzy Maria Ulatowski „Męski rewir”	27
XII. Janina Reklajtis „Dzieci są głodne”	28
XIII. Elżbieta Sobczyńska, Zofia Wareluk „Los warszawskich rodzin w Auschwitz – Birkenau”	29

XIV. Wiesława Borysiewicz „Tragizm losu rodziców”	31
XV. Elżbieta Sobczyńska z domu Grembicka „Moje relacje z mamą w obozie”	33
XVI. Jacek Kublik „Wigilia w obozie, 24 grudnia 1944r.”	35
XVII. Elżbieta Sobczyńska „Ewakuacja obozu”	36
XVIII. Stefan Sot „Marsz śmierci”	37
XIX. Barbara Pankowska „Ostatnie chwile uwięzienia i wyzwolenie”	38
XX. Henryk Duszyk „Ostatnie dni w obozie”	40
XXI. Henryk Duszyk „Powrót do Warszawy”	41

4. Zakończenie panelu wspomnieniowego:

**wiersz Barbary Przybylskiej, z domu Zawodnej, nr obozowy 85076,
czyta Jerzy Ulatowski**

42

Bezpośrednie rozmowy przy herbacie gości z byłymi, małoletnimi więźniami
KL Auschwitz- Birkenau – dziećmi z Powstania Warszawskiego (zakończenie spotkania)

**Folder z panelu wspomnieniowego został opracowany na podstawie relacji więźniów KL
Auschwitz-Birkenau – byłych dzieci, przez zespół w składzie: Róża Krzywobłocka-
Laurów i Elżbieta Sobczyńska**

Opracowanie na prawach rękopisu. Wszelkie prawa zastrzeżone.

1. Wstęp

Duże zainteresowanie młodzieży szkolnej historią małoletnich więźniów politycznych w niemieckich obozach koncentracyjnych zmobilizowało nas - członków Stowarzyszenia Więźniów – Byłych Dzieci Hitlerowskich Obozów Koncentracyjnych do opracowania panelu wspomnieniowego z naszych przeżyć w najstraszniejszym obozie koncentracyjnym – KL Auschwitz-Birkenau, w którym zostaliśmy uwięzieni, jako bandyci warszawscy, po wypędzeniu nas ze stolicy, w pierwszych dniach Powstania Warszawskiego, w 1944 roku. Pragnęliśmy przekazać prawdę o tamtych strasznych czasach.

Panel wspomnieniowy o przeżyciach naszych w KL Auschwitz-Birkenau, p.t. „Z Powstania Warszawskiego do KL Auschwitz II - Birkenau”, został zaprezentowany na kilku spotkaniach z młodzieżą szkół warszawskich w Muzeum Powstania Warszawskiego (01.10.2013 i 16.09.2014) oraz z młodzieżą powiatu oświęcimskiego w Muzeum Auschwitz-Birkenau (26.09.2014), a także na spotkaniu z przewodnikami w tymże Muzeum (04.03. 2014).

2. Wprowadzenie w tematykę spotkania „Z Powstania Warszawskiego do KL Auschwitz-Birkenau”

Spotkanie młodzieży szkół warszawskich z grupą byłych dzieci - więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych, upamiętniającym ich wygnanie z Warszawy i uwięzienie w niemieckich obozach koncentracyjnych, Muzeum Powstania Warszawskiego, 01.10.2013
(Róża Krzywobłocka-Laurów, nr obozowy 83263)

Drodzy i szanowni goście!

Jako byłej, małoletniej więźniarce politycznej Auschwitz-Birkenau, przypadł mi w udziale zaszczyt powitania Was na naszym spotkaniu, które zostało przygotowane przez zespół z następujących organizacji: Stowarzyszenie Więźniów – Byłych Dzieci Hitlerowskich Obozów Koncentracyjnych, Fundacja Moje Wojenne Dzieciństwo, Warszawskie Koło Byłych Więźniów Obozu Koncentracyjnego Auschwitz - Birkenau, przy życzliwej współpracy Dyrekcji Muzeum Powstania Warszawskiego.

Zaproszeni goście – to przede wszystkim młodzież ze szkół warszawskich, zainteresowana historią najnowszą wraz z opiekunami, członkowie organizacji, które przygotowały dzisiejsze spotkanie, przedstawiciele wybranych ambasad krajów, władz samorządowych Warszawy oraz organizacji społecznych zajmujących się tą tematyką. Celowo nie wymieniam nikogo z imienia, nazwiska i pełnionych funkcji, pragnę tylko podkreślić, że wszyscy zaproszeni interesują się szczególnie losem polskich dzieci w okresie wojny. Mogę także zapewnić, że traktujemy Was, nie tylko jako naszych gości, ale także jako przyjaciół.

Korzystając z okazji naszego spotkania, chciałabym krótko przypomnieć kilka faktów.

Przez hitlerowskie obozy koncentracyjne przeszły tysiące polskich dzieci, z których ocalała tylko część. Z danych szacunkowych wynika, że w obozach tych zginęło około miliona Polaków, w tym młodzi ludzie w wieku 14- 24 lata, stanowili 25 do 30%, czyli około 250 – 300 tysięcy. Dane dotyczące młodszych obywateli nie są znane. Wiemy tylko, że niemieckie obozy koncentracyjne na terenie Polski przeżyły trzy fale masowych transportów dzieci polskich: w początkowym okresie okupacji naszego kraju, podczas wysiedleń z Zamojszczyzny oraz wskutek represji podczas Powstania Warszawskiego

Represje te rozpoczęły się już w pierwszych dniach sierpnia 1944 roku. Hitlerowcy masowo mordowali ludność cywilną, zwłaszcza w dwóch dzielnicach Warszawy – Ochocie i Woli. Potem ruszyła wielka akcja wysiedleń wszystkich mieszkańców lewobrzeżnej

Warszawy. Łącznie szacuje się ją na około 500 tysięcy. Wypędzani mieszkańcy Warszawy mogli zabrać ze sobą wyłącznie bagaż ręczny, a opustoszałe mieszkania przed spaleniem i wysadzeniem w powietrze były systematycznie plądrowane i okradane przez specjalne ekipy wojska i SS.

Po latach wydaje się mało prawdopodobne zniszczenie przeszło milionowego miasta w ciągu paru miesięcy. Ci jednak, którzy pamiętają przymusowy exodus pod karabinami hitlerowskimi i tragicznie opustoszałe miasto, nie zapomną tych przeżyć i tych obrazów do końca życia.

Szczególnie tragiczna dla ludności dwóch dzielnic Warszawy – Ochoty i Woli była deportacja całych rodzin, w tym licznych dzieci do obozów koncentracyjnych, najpierw Birkenau-Auschwitz, a stamtąd do innych obozów koncentracyjnych na terenie Niemiec.

Podczas II Wojny Światowej żadne europejskie miasto nie ucierpiało tyle, co Warszawa i jej mieszkańcy. Natychmiast po zdobyciu stolicy, we wrześniu 1939 roku niemiecki okupant wprowadził krwawe represje, które trwały do końca okupacji.

Kiedy 1 sierpnia 1944 roku wybuchło Powstanie Warszawskie, miasto liczyło około miliona mieszkańców. Okupant zmobilizował specjalne jednostki do stłumienia powstania, a Hitler wydał ustny rozkaz, w którym nakazywał eksterminację ludności cywilnej Warszawy, zabijanie wszystkich bez wyjątku i niszczenie miasta dom po domu. Szacuje się, że wymordowano i zabito w wyniku walk w mieście około 200 tysięcy, w obozach koncentracyjnych uwięziono ponad 50 tysięcy, na roboty do Niemiec, jako robotników przymusowych wywieziono ponad 150 tysięcy, pozostali trafili do różnych miejscowości w Generalnej Guberni.

Celem naszego spotkania jest przekazanie wiedzy o martyrologii dzieci polskich, żyjących w okupowanym kraju i więzionych w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Chcemy też zapewnić naszym gościom bezpośrednie spotkania i rozmowy z uczestnikami historii, byłymi dziećmi, które przeżyły koszmar wypędzenia z Warszawy i uwięzienia w niemieckich obozach koncentracyjnych. Jako byli, małoletni więźniowie jednego z najstraszniejszych obozów koncentracyjnych Auschwitz – Birkenau i innych, niemieckich obozów koncentracyjnych, w których były więzione dzieci, pragniemy przekazać prawdę o tamtych strasznych czasach, bez zniekształceń i fałszu, prawdę na temat losu polskich dzieci i ich zagłady podczas okupacji hitlerowskiej.

A zaczęła się ona już w przededniu działań wojennych na froncie – od aresztowań uczniów szkół polskich w III Rzeszy, Protektoracie i Wolnym Mieście Gdańsku. Wkraczający do Polski Wehrmacht niszczył całe wsie i miasteczka wraz z ich mieszkańcami. Mordercze akcje wysiedleńcze ludności polskiej przeprowadzała też niemiecka administracja cywilna, jeszcze przed utworzeniem gett dla Żydów, czy łapaniami Romów, bo jesienią i zimą 1939 roku, a trwały one z różnym nasileniem do końca okupacji niemieckiej.

Długo zastanawialiśmy się jaka forma spotkania będzie najbardziej odpowiednia, żeby nie była zbyt nużąca zarówno dla nas – byłych więźniów jak i dla słuchaczy – naszych gości.

Po dłuższych dyskusjach postanowiono przedstawić nasze przeżycia w formie panelu wspomnieniowego grupy więźniów – byłych dzieci. Muszę tu dodać, że dla nas samych, byłych więźniów nie jest łatwo wspominać ten trudny okres naszego życia, nie jesteśmy też najmłodszy, przeważnie po siedemdziesiątce. Z tego też względu ustalono, że wspomnienia nasze będą czytane przez ich autorów. Cały panel przygotowano tak, żeby obrazował nasze życie w obozie. Aby relacje zostały sprawnie zaprezentowane, zostaną one połączone narracją naszej obozowej koleżanki – pani Elżbiety Sobczyńskiej, która na co dzień, jest wiceprezesem naszego Stowarzyszenia Więźniów - Byłych Dzieci Hitlerowskich Obozów Koncentracyjnych.

Chcieliśmy też przybliżyć Wam realia życia obozowego przez wyświetlenie oryginalnych fotografii tej ponurej rzeczywistości. Podjął się tego pan Andrzej Machnowski - członek honorowy Stowarzyszenia Więźniów - Byłych Dzieci Hitlerowskich Obozów Koncentracyjnych, na co dzień – dziennikarz i reżyser filmowy, autor filmu dokumentalnego o naszych losach, opartego na książce „My dzieci z łagrów”. Książkę i film chcemy przekazać do bibliotek szkół młodzieży, uczestniczącej w naszym spotkaniu.

Po zakończeniu panelu, planujemy czas na bezpośrednie rozmowy naszych gości z nami – byłymi więźniami. Łatwo nas będzie odróżnić, bo założyliśmy charakterystyczne chustki na szyję, które wyglądają jak obozowy pasiak – białe niebieskie pasy, a na ich tle czerwony trójkąt z literą P i numerem obozowym. Zachęcam do tych rozmów z żywą historią.

3. Panel wspomnieniowy – prowadzenie przez byłą, małoletnią więźniarkę Elżbietę Sobczyńską, nr obozowy 85536

Narrator:

Posługując się ilustracjami naszych osobistych wspomnień, ukażemy los ludności cywilnej, od jej wypędzenia z Warszawy podczas powstania, które wybuchło 1 sierpnia 1944 roku, aż do jakżeż trudnych powojennych powrotów. Zaczniemy od fragmentów wspomnień zmarłej w 2013 roku koleżanki Marii KOSK z domu BRZĘCKIEJ, nr obozowy 83110, która w chwili uwięzienia w kolejnych obozach: KL Auschwitz – Birkenau, Ravensbrück i Buchenwald miała zaledwie 14 lat.

Rozmyślania podczas apelu, nieżyjącej Marii Kosk odczyta koleżanka Janina Reklajtis

I. Maria Kosk z domu Brzęcka „APEL w KL Auschwitz-Birkenau”

Dlaczego ja tu jestem? To miejsce jest mi obce i nieznane! Za jakie ciężkie przewinienie mnie tu przywieziono? Ja tu nie chcę być! Mamusiu jak tu zimno!

Mama mocno przyciąga mnie do siebie i głaszcze moją zapłakaną twarz. Wtulam się w nią. Jej ciepło mnie przenika. Jej dobre ręce uspokajają mnie. Dobrze mi przy niej i bezpiecznie.

Jest noc. Przenikliwie zimno. Stoimy już od paru godzin nagie, na zewnątrz budynku, po uprzednim odebraniu nam wszystkiego, co miałyśmy na sobie i ze sobą. Nie mamy ubrania i obuwia. Nie mamy niczego!

Po raz drugi, w tak krótkim czasie widzę i słyszę ludzi, dla których człowiek jest nikiem. Można go bić, kopać, poniżać, a nawet zabić. Takich ludzi, którzy tak postępują, po raz drugi zobaczyłam po wyjściu z wagonu towarowego, tutaj w Auschwitz.

Jeszcze jesteśmy wilgotne od przymusowej kąpieli pod natryskami, gdzie niektóre kobiety z rozpaczą informowały, że tu właśnie w tym miejscu może nas spotkać śmierć. Że właśnie tu, ludzie zostają zagazowani.

Nie rozumiem tego co mówią. Śmierć? Gaz? Dlaczego!

Przywieziono nas tu 12 sierpnia 1944 roku.

Okazało się, że to miejsce to największy w Polsce hitlerowski obóz koncentracyjny, to Auschwitz – Birkenau. Po wyjściu z wagonu kazano nam bagaże pozostawić na peronie. Tutaj peron nazywano „rampą”.

A co to znaczy „apel”? Dowiaduję się, że to właśnie jest to, co robimy teraz. Czyli nic. Stoimy godzinami przed blokiem. Nie wolno usiąść, nie wolno rozmawiać. Jesteśmy pilnowane i obserwowane przez „auzjerki” umundurowane, funkcyjne Niemki. Towarzyszą im psy. Ale teraz w nocy nikt nas nie widzi?

Stoimy w szeregu, zwrócone pleciami do pleców stojącej obok osoby. W ten sposób mniej zmarzniemy. Tylko pierwsza i ostatnia kobieta narzekają na wiejący na nie wiatr i proszą o zamianę miejsc. Tak mi zimno! Nigdy nie stałam w otoczeniu tylu kobiet, nagich kobiet. Jest ciemno, chciałabym zasnąć. Mamusia mocno mnie trzyma i z głową ułożoną na piersi Mamusi – stojąc zasypiam.

O świcie ukazuje się słońce. Robi się cieplej, ale mój wstyd z nagości robi się silniejszy. Wszyscy mnie widzą. Ja też widzę te nagie, w różnym wieku kobiety. Czy one nie wstydzą się – myślę chowając się za mamusię.

Suknie, które nam rzucono, przeważnie były wizytowe, czarne, długie lub krótkie, niektóre haftowane lub z dżetami, prawdopodobnie wyjęte z bagażów wcześniej przybyłych tu więźniarek. Pomalowano nam na nich farbą olejną, grubą linię i przyszyto do sukien czerwone trójkąty tzw. „winkle” z literą „P”. Te trójkąty czerwone znaczyły, że stałyśmy się polskimi więźniarkami politycznymi. Ja, więzień polityczny? Pod nimi, na białej szmatce umieszczono nadany nam numer. Od tej chwili nazywać się będę 83110. Tylko, że ja jeszcze nie wiem co to znaczy być więźniarką i to polityczną.

Tak ubrane, boso, bez bielizny osobistej, bez ręczników, mydła pasty do zębów, szczotek i pościeli miałyśmy spędzić 6 tygodni, stojąc godzinami przed blokiem, na apelach, słaniając się z głodu, niewyspania i strasznej rozpacz.

Czasami można było usiąść na ziemi. Nareszcie nogi mogły odpocząć. Nie odzywam się do nikogo, jest mi tu bardzo źle.

Śpimy w sukniach, nie myjemy się. Trudno obronić się przed zawszeniem. Najgorsze jednak bywają noce i pluskwy, które swobodnie chodzą po pryczach i po nas. Nie mamy czym się przykryć, nie mamy możliwości zmienić miejsca. Można jedynie zgarnąć je ręką i zrzucić na podłogę. Brzydzą się pluskiew, brzydzą się tego miejsca i tych obcych kobiet, leżących ze mną na jednej pryczy.

Lecz wtedy z tego, co jeszcze miało nas spotkać, nie wiedziałam, że bywają również apele w czasie deszczu. Mokra i zimna suknia przylepia się do nagiego ciała. Nie ma możliwości wysuszenia jej. Trzeba czekać aż wyschnie na mnie. Bose stopy grzęzną w czerwonym błocie po kostki nóg. Między palce wchodzi gliniasta maź, która kształtuje się niczym kluski. To jest ziemia z gliną, która po wyschnięciu wygląda, jak gdybym miała na stopach pantofle.

Zaczynam chorować. W tych warunkach, jest to ogromny kłopot, jaki sprawiam mojej Mamusi. Jest bezradna.

Niekiedy w pobliżu przechodzi orkiestra. To są wyłącznie same kobiety, więźniarki. Idąc, grają skoczne melodie. Ubrane są w czyste suknie, tak zwane „pasiaki”. Instrumenty lśnią w słońcu niczym złoto. Ale nie bawi nas to, ani nie zmienia naszego smutnego położenia. Ze zdziwieniem kwituję, że coś takiego jak orkiestra tu istnieje.

Wtedy też jeszcze nie wiedziałam, że moja męczarnia będzie trwała tak długo, że czekają mnie dalsze pobyty w niemieckich obozach koncentracyjnych, ciężka mordercza praca, zastraszenie, upodlenie i na koniec wyniszczający „marsz śmierci”.

Nie wiedziałam, że zostanę bez jedyne go, ciepłego wsparcia, bez pocieszenia i bez miłości mojej kochanej Matki, bez jedzenia, bez odpowiedniego ubrania, bez sił i bez nikłej nawet nadziei na lepsze jutro. Będzie to miało miejsce na terenie Niemiec w obozach koncentracyjnych Ravensbrück i Buchenwald.

A wyzwolona przez wojsko radzieckie, będę dopiero 5 maja 1945 roku.

Narrator:

1. sierpnia 1944 roku wybuch Powstanie Warszawskie. Wspomnienia pierwszych chwil jego trwania w dzielnicy Wola przedstawi koleżanka Wiesława Borysiewicz z domu Kajak, mająca wówczas 15 lat.

II. Wiesława Borysiewicz z domu Kajak, nr obozowy 83267 „Pierwsze chwile Powstania w dzielnicy Wola”

Wybuch Powstania Warszawskiego całą moją rodzinę zastał w domu. Mieszkaliśmy przy ulicy Karolkowej 27 na Woli. Już pierwszego dnia jego trwania, Niemcy pomimo walk toczonych z powstańcami, wszystkich mieszkańców naszego domu wypędzili, kierując pod mieszczącą się opodal fabrykę „KLAWEGO”.

Tam ku memu przerażeniu dostrzegłam ustawione karabiny maszynowe wycelowane w naszą stronę. Boże to egzekucja! Z otwarciem ognia jednak zwlekano, aby cała grupa podeszła bliżej. Ten moment wykorzystali powstańcy stacjonujący w domu po przeciwnej stronie ulicy. Atakując Niemców pierwsi, nam uratowali życie.

Gdy pomiędzy wojskiem wywiązała się walka, tłum natychmiast rozproszył się, kryjąc w bramach sąsiednich domów. Dopiero, gdy strzały zamilkły, skryliśmy się na terenie zajezdni tramwajowej w wykopanych wcześniej schronach i znacznie później pojedynczo przemykali do naszego domu, gdzie przetrwaliśmy do 9. sierpnia.

Trzydziestu księżom redemptorystom z kościoła przy ulicy Karolkowej, niestety nie udało się ująć z życiem. 5. sierpnia 1944 roku rozstrzelali Niemcy ich wszystkich, co do jednej osoby.

Warszawa wraz z jej mieszkańcami zgodnie z planami Hitlera miała zniknąć z mapy Europy.

Pierwsze wypędzenia ludności cywilnej Warszawy zaczęły się chyba dopiero od wysokości naszej ulicy. Poczynając od rogatek miasta, na Woli, ulica po ulicy, o czym informowali zbiegli ludzie z tamtych terenów, Niemcy systematycznie, zbiorowo mordowali. Po wojnie ustalono, że straty na Woli były największe, gdyż 50 tysięcy jej mieszkańców straciło życie.

Gdy po raz drugi, pod nadzorem niemieckiego wojska wypędzano nas z domu, mieliśmy więcej szczęścia. Nie przeżywalibyśmy już bezpośredniego zagrożenia życia.

Niemniej nie minął nas szok powstały w wyniku obrazów zniszczeń, oraz widoków stosów spalonych i walających się pojedynczych trupów. Idącym nam ze zgrozy płynęły łzy, gdyż miasta w tej dzielnicy już nie było. Ale o tym do czego miałyby nastąpić powroty, wtedy jeszcze nie myślano. Tymczasem wypędzony tłum wraz z nami gnano ulicą Wolską do Kościoła Św. Wojciecha. Tam się zatrzymaliśmy, aby sformować większą grupę po wybiórczej selekcji mężczyzn.

Po wkroczeniu w ulicę Bema, byliśmy już bardzo znużeni drogą, tym bardziej, że towarzyszyła nam ogromna spiekota, makabryczne doznania oraz narastający lęk o życie własne i najbliższych. Wkrótce jednak dotarliśmy do dworca Zachodniego, aby kolejką podmiejską dojechać do Pruszkowa, skąd bydlęcymi wagonami wywieziono nas w nieznane.

Narrator:

Dramat samotności dziecka wypędzanego do Auschwitz – Birkenau bez rodziców, opowie MARIA STROIŃSKA z domu LESZYŃSKA, która wówczas miała 11 lat.

III. Maria Stroińska z domu Leszyńska „Dramat samotności dziecka wypędzanego do KL Auschwitz-Birkenau bez rodziców”

Do wybuchu Powstania Warszawskiego w dniu 1 sierpnia 1944 roku mieszkałam wraz z rodzicami i 15. letnią siostrą Krystyną w Warszawie, w dzielnicy Wola, przy Placu Opolskim 6 . W chwili gdy rozpoczęto zbrojne działanie, a walki na terenie Woli się nasilały, rodzice mając na uwadze nasze bezpieczeństwo, zdecydowali, że oni pozostaną w domu, a mnie z siostrą zabierze powracająca do swego mieszkania na ulicę Pawią znajoma, pani Buda. Gdy okazało się, że i teren przyległy do Getta, na który przybyliśmy też objęty jest ostrzałem, siostra postanowiła powrócić do domu.

Przedsięwzięcie to było już bardzo trudne i właściwie niemożliwe, gdyż Niemcy strzelali do każdego ukazującego się na otwartej przestrzeni. Niemniej siostra pełna samozaparcią pewna była, że uda się nam przedrzeć przez front ulicy Młynarskiej, choć Powstańcy przestrzegali i stale nas zawracali. Siostra przestraszyła się dopiero, gdy pocisk musnął jej włosy. Wtedy poleciała mi powrócić na ulicę Pawią, a sama od innej strony miała próbować dotrzeć na miejsce. Od rozstania z siostrą, pomimo, że ponownie przebywałam wśród życzliwych ludzi, to już zupełnie samej bez wsparcia bliskiej mi osoby przyszło mi borykać się z lękiem o życie własne i rodziców, a miałam zaledwie 11 lat.

Jednak mój życiowy dramat i samotny los miał się dopiero rozpocząć od 10 sierpnia 1944 roku, po wypędzeniu przez Niemców ludności cywilnej z ulicy Pawiej. Przerazona zaistniałą sytuacją szłam pomiędzy gromadą ludzi usiłując nie zgubić tych, których znałam, a myśli biegingy do domu. Wejście w ulicę Górczewską napełniło nadzieją, że niebawem ujrzę nasz rodzinny dom. A gdy w głębi ulicy Szlenkierów nareszcie go dostrzegłam, nie bacząc na zagrażające mi niebezpieczeństwo, a mając przeświadczenie i pewność, że tam oczekują mego powrotu rodzice, wyszłam z pośród tłumu aby do nich podążyć.

Wtedy Niemiec nadzorujący wypędzanych brutalnie mnie zatrzymując, pochwycił i silnie pchnąwszy dołączył do szeroką ławą idących.

Od tego wydarzenia zgnębiona własną niemocą, zalewając się łzami rozpaczy, szłam już całkiem bezwolna nie mogąc się otrząsnąć z narastającego żalu i krzywdy jaka mnie spotkała.

Mój Boże, rodzice byli tak blisko, ale jakżesz okazali się niedostępni.

Od tej pory płacz, z osamotnienia oraz bezradność towarzyszyły mi już niestety przez cały pobyt w obozie trwający aż do końca wojny i powrotu do zrujnowanego częściowo domu.

Zastałam w nim tylko bardzo schorowaną Mamę, która mnie nie rozpoznała i tragiczną wiadomość, że jeszcze w sierpniu 1944 roku Niemcy Ojca rozstrzelali wraz z tysiącami innych mieszkańców z ulicy Górczewskiej oraz jej przecznic.

Narrator:

Nazywam się Elżbieta Sobczyńska z domu Gremblicka. Mając 10 lat zostałam uwięziona w Auschwitz – Birkenau wraz z matką i 12 – letnim bratem Leszkiem.

IV. Elżbieta Sobczyńska z domu Gremblicka nr obozowy 85536 „Wybuch Powstania Warszawskiego i wypędzenie do KL Auschwitz-Birkenau w pamięci dziecka”

Pierwszego sierpnia 1944 roku niespodziewanie na naszej ulicy Dzielnej, rozległy się pierwsze strzały. Była na pewno godzina 16.00.

Na odgłos przeciągającej się walki, mieszkańcy schronili się do piwnicy, której ciemności rozpraszał płomyk świecy. Ale wnet za przyczyną zebranych, światelko to oświetlało także obraz Matki Bożej, której zawierzono ocalenie!

Niebawem do domowników dołączył członek niemieckiej załogi wartowniczej strzegącej Fabryki Monopolu Tytoniowego, zlokalizowanej naprzeciwko naszego domu.

Dla obopólnego bezpieczeństwa, nas i tegoż unikającego udziału w walce żołnierza ulokowano go w jej najdalszym ciemnym kącie.

Było dobrze po północy, może druga lub trzecia nad ranem już drugiego dnia sierpnia, gdy przyszli powstańcy z Batalionu Miotła oświadczając, że w wyniku dotychczasowej walki, zdobyty został Monopol Tytoniowy i nasza ulica już jest wolna. Rozpytywali tylko, czy nie ma Niemców. Zapanowała konsternacja. Swoich nie mogliśmy oszukiwać. Przekazując chroniącego się pośród nas niemieckiego żołnierza proszono, aby nie czyniono mu krzywdy. Zabierający go powstańcy solennie zapewniając uspakajali, że jeńców nie zabijają. Po tym oświadczeniu, w które uwierzyłam, ulżyło mi niezmiernie. Rano, korzystając z chwilowej ciszy po ustanych walkach w tej części ulicy, krocząc za Mamą opuszczającą piwnicę, usłyszeliśmy jej ostrzegawczy okrzyk” Dzieci nie patrzcie”.

Wzdłuż wysokiego muru odgradzającego naszą posesję od zachodniej części ulicy Dzielnej, stały oparte o niego wysokie drabiny. Najwidoczniej służyły Niemcom, broniącym dostępu do Monopolu Tytoniowego, jako pozycje strzelnicze. Ale dopiero pod nimi widok był bardzo ponury, bowiem tam leżały zwalone ciała zabitych żołnierzy. Natomiast po przeciwnej stronie pod murem Getta, widniała jakby osunięta i skulona w kucki zastygła postać powstańca.

W basenie przeciwpożarowym, który był w ciemnościach nocy niespodziewaną pułapką, znajdowały się dwie osoby z tragicznie rozrzuconymi rękoma. Na te poruszające wyobraźnię widoki, mnie i brata natychmiast opanował duch bojowy, który Mama skutecznie zgasiła.

Z prawdziwym jednak zachwytem i zadziwieniem zdążyłam jeszcze zobaczyć jak zdobyczny czołg, który nazywano „Tygrysem”, a może to była „Pantera”, nieznacznie tylko wspinając ku górze gąsienice, mięciutko rozwalił mur odgradzający ulicę Dzielną od Getta i wjechał na jego teren.

Po odejściu powstańców z naszej posesji, czując się nieswojo w osamotnionym miejscu, otoczonym zewsząd murami, razem z garstką mieszkańców naszego domu przenieśliśmy się

do piwnic kamienicy, istniejącego obok ciągu wysokiej zabudowy ulicy Dzielnej, a konkretnie pod numer 79.

W tych dniach względnie bezpieczne było tylko poruszanie się wzdłuż całego ciągu budynków, bez potrzeby wychodzenia na ulicę, przez poprzębijane w ścianach domów duże otwory. Przejścia te wykorzystywali nie tylko powstańcy, ale i nieliczni uciekinierzy z ulicy Woli, przynoszący makabryczne relacje o bestialskim postępowaniu Niemców i Ukraińców z ludnością cywilną.

Przed podobnymi relacjami Mama skutecznie nas strzegła. Jednak sama pod ich wrażeniem w poczuciu niepewności do nadchodzących wydarzeń, postanowiła spakować ewakuacyjny toboł. Na tę okoliczność 10 sierpnia 1944 roku około południa wróciliśmy tylko we dwie z Mamą, bez brata Leszka, do naszego opuszczonego domu pod numer 73, z zamiarem umycia mi głowy i posegregowania zwalonych wcześniej w piwnicy rzeczy.

Ledwie podjęliśmy działanie, gdy zdyszany brat przybiegł z wiadomością, że wszystkich ludzi z ulicy Dzielnej wypędzają Ukraińcy. Dopiero teraz mam świadomość, co on przeżył biegnąc przez opustoszały otwarty teren w przeciwnym kierunku niż wskazany, aby nas, niczego nie przeczuwające, o tym fakcie powiadomić, a jednocześnie uratować życie.

Tymczasem pomimo grozy, sytuacja stała się wprost groteskowa. Mama pośpiesznie ze sterty zwalonej i pomieszanej z bielizną garderoby, poczęła wygrzebywać potrzebne do zabrania rzeczy. Przede wszystkim zimowe buty oraz okrycia. Przy tej czynności, jak zacięta płyta gramofonowa, do siebie powtarzała "Mój Boże, mój Boże już nigdy nie będę miała puchowej pościeli"! Ja stojąc obok, dziwiłam się niezmiernie tej rozpacz, nie zdając sobie sprawy, że bywa również i inna niż puchowa pościel.

W tym czasie brat Leszek, bardzo zdenerwowany naszą zwłoką, świadomy ryzyka, stojąc na schodach piwnicy, w głąb jej nawoływał, "Chodźcie już, chodźcie szybko, co tak długo, chodźcie, już wszyscy poszli, chodźcie szybko, bo nas zastrzelą"! My nie wiedziałyśmy, że Ukraińiec, który wypędzał ludzi krzychał „ Uchadyj, uchadyj, poślednij ubijom”! (wychodźcie, wychodźcie, ostatniego zastrzelę). Toteż nie poddając się jego panice, spokojnie kończyliśmy wybieranie wszystkiego, co wydawało się niezbędne.

Nikt z nas jednak nie pomyślał o fotografiach i dokumentach zgromadzonych w szufladzie kredensu na górze. Zresztą nie było czasu na myślenie, trzeba było szybko działać, gdyż wypędzenie było nagłym zaskoczeniem. Mama i tak była przytomna, zabierając dokument tożsamości, czyli kenkartę oraz ocalałe, a bardzo nieliczne kosztowności, zachowane dotychczas jako cenne pamiątki rodzinne. Były to tylko dwa pierścionki z brylantami, obrączka i srebrny Logines „cebula” – zegarek ojca. Z żywności – resztki słoniny, cukru i suchary, poza tym także jedyny 500 - złotowy banknot, ówczesny „góral”, który tylko Mamie został.

Wypędzona z Warszawy nie miała definitywnie już NIC!

To, co zdołaliśmy unieść i mieliśmy na sobie było wszystkim, co udało się w ogóle uratować!

Kiedy wychodziliśmy z domu, pomimo sierpniowego upału, odziani byliśmy w potrójnie nawarstwioną garderobę i palta, a zimowe buty związane sznurowadłami dyndały przerzucone na ramionach. Mama w futrze z lisem przewiązanym w pasie i paltem ojca nałożonym na wierzch, w rękę trzymała jeszcze tobołek z żywnością oraz w ostatniej chwili złapanym garniturem ojca i nowiutką zmianę bielizny pościelowej w nadziei, że podczas noclegu gdzieś w stodole się przyda.

Jako ostatni, z rękami uniesionymi ku górze, nie oglądając się opuszczaliśmy ulicę Dzielną, kierując się za oddalającymi ludźmi na drugą stronę Okopowej.

Dopiero to poddańcze uniesienie rąk uświadomiło mi realne zagrożenie i wywołało strach!

Punktem zbornym, do którego zdążaliśmy, była spora przestrzeń utworzona pomiędzy prawie równoległymi do siebie ciągami kamienic ulic Okopowej i Gibalskiego, które od ulicy Żytniej zamykała barykada. W jej tle na trójnogu stał karabin maszynowy z obsługą gotową do strzału.

Przeciwnym przejściem od ulicy Okopowej, napływał bezbronny, milczący, nierzadko objuczony tobołami tłum, który lustrując sytuację, przezornie rozpraszał się pod ścianami budynków.

Zajęliśmy miejsce tuż przy prawej stronie barykady, z tyłu za ustawionym karabinem pod oknem wysokiego parteru, gdzie dostrzegłam miotającego się w klatce kanarka. Było mi ogromnie żal, że został sam, choć nie wiedziałam wtedy, że już na zawsze.

Podczas oczekiwania nakazano rozebrać w barykadzie wąskie przejście, którym zaczęto wyprowadzać oddzielone od mężczyzn kobiety i dzieci. Skierowani na prawo w ulicę Żytnią, minęliśmy ulicę Karolkową, aby dalej odbijając od jej lewej strony na przełaj przez jakieś puste parcele dotrzeć do ulicy Leszno. Następnie po dobrnięciu i przecięciu ulicy Młynarskiej wkroczyliśmy w ulicę Górczewską. Milczący tłum szedł jezdnią. My trzymaliśmy się prawego krawężnika, co umożliwiło obserwację tej strony ulicy.

Wnet przyciągnęła moją uwagę leżąca na jezdni tuż przy chodniku porzucona puchowa kołdra. Z zadziwienia nad jej kolorytem całkiem odmiennym od naszych pozostałych w domu, wyrwało mnie raptem wywołujące zawsze odwrotny skutek ostrzeżenie Mamy "Dzieci nie patrzcie"! Tym bardziej chciałam zobaczyć, co takiego na początku ulicy Górczewskiej tak poruszyło tłum, że zafalowało w nim jęklwym pomrukiem. Wspięłam się na palce i ponad głowami idących ujrzałam po przeciwnej stronie ulicy, na tle gruzowiska domu zwęglony stos przypominający czarne belki. Nie wiedziałam wówczas, co rzeczywiście było jego materiałem. Obecnie w tym miejscu usytuowana jest upamiętniająca tablica, że „Tu dnia 5 sierpnia 1944 roku hitlerowcy rozstrzelali i spalili około 2000 Polaków”. Nieco dalej, w okolicy placu Opolskiego, zbulwersowała idących innego typu rodzajowa scenka. Wprost na ulicy, przed cofniętą od trotuaru willą, przy stoliku, na którym stał patefon, siedział w nonszalanckiej pozie oficer niemiecki słuchający muzyki, a przed nim defilował pochód wypędzanych ludzi.

Gdy minęliśmy to widowisko zatrwożył mnie budzący przerażenie obrzmiały trup kobiety leżącej tuż za siatką w samym narożniku ogrodzenia sporego uprawnego pola. Lecz nim zdążyłam ochłonąć z wrażenia, a już skręciliśmy na lewo w dość wąską ulicę Działdowską, której zabudowa płonęła żywym ogniem. Żar był tak nieznośny, że z konieczności już rozciągnięci w kolumnę, szliśmy osią jezdni, podczas gdy papiery unoszone gorącym podmuchem fruwały ponad dachami i całą ulicą. Po skręceniu na prawo w ulicę Wolską i dobrnięciu do kościoła Św. Wojciecha, nie zatrzymywani doszliśmy do ulicy Bema. Przed jej rogiem, płonął ciąg domów, a wydobywające się z okien mieszkania szkolnego kolegi jęzory ognia oblizywały wyższe piętro. Widok ten przeogromnie poruszył mego brata.

Po wejściu w ulicę Bema, posuwaliśmy się już chodnikiem, cały czas prowadzeni i nadzorowani przez idących poboczem jezdni, uzbrojonych Niemców. Upał, zmęczenie długim marszem i silnie działające na psychikę wrażenia sprawiły, że mój brat Leszek dostał ataku hysterii. Rozrzuciwszy na boki poły swej peliski na tchórzach, którą z konieczności miał na sobie, głośno protestował krzycząc, że mu gorąco, że ma tego już dosyć i dalej nie pójdzie!. Mama, aby przerwać jego załamanie, wskazując Niemców, opanowanym głosem powiedziała” Idź i im to powiedz”! Pomogło i otrzeźwiło. Natychmiast się uspokoił.

Ja natomiast, przeciwnie niż on, nie czułam wcale upału, ale już zupełnie nie pamiętam dalszej trasy, którą dotarliśmy do Dworca Zachodniego. Wiem tylko na pewno, że było jeszcze widno, gdy załadowywaliśmy się do podmiejskiej kolejki elektrycznej, choć opuszczaliśmy ją w Pruszkowie podczas panujących na dworze ciemności. Mama korzystając z ich osłony, zamiast trzymać się tłumu, raczej z niego się wycofywała, aż zostaliśmy na torach sami. Nie domyślałam się wtedy, że Mama miała zamiar uciec i schronić się z nami u rodziny swego ojca.

Przejęci naszym oddaleniem się od ludzi, nie chcąc być na widoku, pociągnęliśmy Mamę za załom muru biegnącego wzdłuż torowiska. Ale tu czyhała pułapka, w którą daliśmy się złapać. Otóż od tego wschodniego szczytu, o czym nie wiedzieliśmy, prowadziło wejście i wjazd dla wagonów na teren, gdzie Niemcy zorganizowali przejściowy obóz dla wypędzonej ludności z Warszawy.

Zaskoczeni, bo przy otwartej bramie stała uzbrojona warta, nie mogąc się już wycofać, weszliśmy do środka. Posuwając się do przodu, pośród ciemności omal nie wpadliśmy na puste bydłce wagony, które stały na torze równoległym do muru, ale już po wewnętrznej stronie obozu. Potykając się brnęliśmy drogą w głąb. Zatrzymano nas dopiero w załomie pomiędzy dwoma budynkami, gdzie w świetle reflektorów przeprowadzono wstępną selekcję. Najpierw wywołano rodziny tramwajarzy i kolejarzy, następnie oddzielono kobiety i dzieci. Wtedy Mama kazała nam ugiąć kolana, abyśmy sprawiali wrażenie jeszcze młodszych. Trafiliśmy do pierwszego budynku najbliższej rampy, który okazał się dużą halą, pozbawioną jakichkolwiek warunków do odpoczynku, a tym bardziej spędzenia w niej nocy. Nierówności w betonowej podłodze i sterzące żelastwo po rozmontowanych urządzeniach stanowiły raczej zagrożenie. Mimo to, zdrożeni ludzie stopniowo wypełniali jej powierzchnię, siadając byle gdzie i jak popadło. Mama, usadzając nas na podłodze nakazała abyśmy nie zmieniali miejsca. Sama gdzieś poszła, a my natychmiast zasnęliśmy.

Rano gruchnęła wieść, że wartowników u wyjścia na zewnątrz zmieniono z „zielonych” mundurów na „czarne” lub odwrotnie. W każdym razie na bardziej rygorystycznych, a więc wykupienie wolności za złoto stało się zupełnie nierealne.

Wczesnym popołudniem, a był już 11 sierpnia, rozdzielono tłum zalegający halę, kierując go do dwóch przeciwległych wyjść. Opuściliśmy ją przejściem od strony wschodniej i ruszyliśmy na lewo, w głąb porośniętego badyłami terenu. Zaniepokojeni, że nie było z nami nikogo ze znajomych, zawróciliśmy, ale hala była już pusta. W poszukiwaniu wyprowadzonych ludzi przeszliśmy przez wyjście zachodnie i raptem znaleźliśmy się na rampie, gdzie załadowywano transport.

Dołączeni do wyjeżdżających, upchnięci w pełnym już bydlęcym wagonie, z konieczności usiedliśmy blisko drzwi, które zaryglowano. Nikt nie wiedział, dokąd mają nas wywieźć. Pociąg ruszył, aby niebawem zatrzymać się w Skierniewicach. Gdy otwarto wagon, na dworze było już ciemno. Tymczasem służba PCK rozpytywała, czy są chorzy i małe dzieci. Nikt poza nami się nie zgłosił. Mamie polecono położyć się na noszach i udawać chorą. Kiedy zapytała, co z tobą, w który dopiero w Pruszkowie zdołała do reszty spakować cały wyniesiony dobytek, usłyszała „Trzeba zostawić”. Zanim zdążyła dokonać błyskawicznej analizy sytuacji młody człowiek wykorzystał ten moment i zajął nosze, po czym natychmiast został na nich wyniesiony. Mam nadzieję, że ku wolności. My wsiedliśmy do wagonu, którego drzwi zatrzaśnięto z łoskotem.

Dopiero chyba gdzieś pod Częstochową doszły nas wieści, że transport skierowany jest do Oświęcimia (KL Auschwitz – Birkenau). Mama doznała szoku. W rozpaczę biła głową o ścianę wagonu. Przeraziłam się jej stanem.

Narrator:

Podobnie jak w dzielnicy Wola, w tym samym czasie wypędzano mieszkańców dzielnicy Ochota. Koleżanka Barbara Doniecka, przedstawi fragment swych przeżyć.

V. Barbara Doniecka z domu Racka, nr obozowy 86341 „Wypędzona z Ochoty”

Wybuch Powstania Warszawskiego zastał mnie wraz z mamą w naszym mieszkaniu na Ochocie przy ulicy Kaliskiej 19. Ojciec był w pracy. Miałam wówczas 10 lat i nie zdawałam sobie sprawy, co się faktycznie dzieje. Choć Ochotę od początku opanowali powstańcy, lecz na skutek ogromnego niemieckiego ostrzału bezpieczniej było przebywać w piwnicy, do której i my się schroniliśmy. Pamiętam tylko jak od czasu do czasu wpadali do niej powstańcy, pełni zapału i nadziei informując, że za parę dni zwyciężą. Mówili, że Rosjanie znajdują się na Pradze za Wisłą i w razie potrzeby pomogą w walce. Była to jednak złuda, że ktokolwiek skutecznie nam pomoże. I wbrew oczekiwaniom, wnet stało się to co najgorsze.

Niemcy podczas wypędzania ludności cywilnej z Warszawy byli bezwzględni. Podpalali domy, a wyciągniętych z piwnic mieszkańców pod karabinami gnali na Zieleniak – targowisko przy ulicy Grójeckiej. Tu działy się okropne rzeczy. Wybranych z tłumu mężczyzn stawiano pod murem i na oczach wszystkich rozstrzelivano. Wśród nich rozpoznałam naszego dozorcę pana Franciszka. Ze zgrozą wspominam także rabowanie mienia oraz płacz nie tylko młodych kobiet kryjących się przed gwałcącymi Ukraińcami w niemieckich mundurach. Po upiornej, pełnej lęku nocy spędzonej na Zieleniakach znów nas pędzono, tym razem na dworzec Zachodni, skąd pociągiem elektrycznym przewiezieni zostaliśmy do Pruszkowa. W Pruszkowie zgromadzono nas w olbrzymiej hali, gdzie był ogromny zaduch i ścisk. Ludzie siedzieli skupieni blisko siebie. Słysząc jakieś okrzyki osób obłąkanych, którzy nie wytrzymali psychicznie wydarzeń ostatnich dni i po prostu zwariowali. To dopiero był początek koszmaru. Po dwóch dniach bez żadnego posiłku, byliśmy bardzo głodne. Wypędzone z piwnicy w Warszawie wyszliśmy z mamą nagle, bez niczego, tak jak stałyśmy. Toteż otrzymane kostki cukru od jakiejś starszej pani siedzącej obok nas, były wielkim wsparciem. Wreszcie Niemcy wyprowadzili wszystkich z tej hali, po czym nastąpiła selekcja ludzi do transportu. Mężczyzn na jedną stronę, stare kobiety na drugą, a matki z dziećmi na trzecią stronę. Usłyszałam tylko - Grojce Kinder”.

W efekcie znaleźliśmy się w zaryglowanym wagonie towarowym, jak dla bydła, a podróż w nieznane mijła w warunkach anty-sanitarnych, bez jedzenia, picia, podczas gdy ówczesny sierpień był wielce upalny. Ogromne stłoczenie jadących powodowało, że w wagonie było bardzo duszno. Ponadto wydzieliał się okropny odór odchodów, gdyż ludzie załatwiali swoje potrzeby bezpośrednio w tej ogromnej, bydłowej skrzyni. Warunki te sprawiały, że niektórzy słabli. Do Birkenau transport z Warszawy dotarł nocą. Wyganiano nas z tych wagonów na rampie w atmosferze pośpiechu wśród okrzyków „sznela, sznela”. My na razie nie wiedzieliśmy gdzie się znajdujemy, ale pamiętam jak jeden z mężczyzn krzyknął: ”Rany Boskie to Oświęcim”.

Dorośli już wiedzieli, co ich czeka, że są w obozie koncentracyjnym, ale ja jeszcze nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Narrator:

Kolega Stefan Sot, mający wówczas 13 lat, opowie inne fakty z pobytu w Pruszkowie jak i podczas transportu oraz przyjazdu do KL Auschwitz – Birkenau 11 sierpnia 1944.

VI. Stefan Sot , nr obozowy 192705 „Transport i przyjazd do Auschwitz-Birkenau”

Wypędzeni z Warszawy 9 sierpnia 1944 roku przez Własowców w niemieckich mundurach dotarliśmy kolejką elektryczną z Dworca Zachodniego do obozu przejściowego w Pruszkowie późnym wieczorem. W olbrzymiej hali wprost na gołej podłodze, pośród walających się śmieci i żelastwa spędziliśmy noc. Cały czas byłem z Matką, stryjenką i jej synem Leszkiem oraz sąsiadami z naszego domu przy ulicy Okopowej. Do jedzenia mieliśmy tylko własny prowiant wyniesiony z domu, a był to kawałek ugotowanego końskiego mięsa.

Następnego dnia ogłoszono, że będą nas wywozić do Sochaczewa, do pracy w gospodarstwach. Zapakowaliśmy się do towarowego bydłowego wagonu i choć jego drzwi nie zaryglowano, pociąg ruszył w nieznane.

Aby uniemożliwić ucieczki, na bryku poszczególnych wagonów usytuowano uzbrojonych esesmanów. Pierwszy raz transport zatrzymał się w Skierniewicach, gdy było już całkiem ciemno. Służby PCK biegając wzdłuż wagonów poszukiwały chorych. Sąsiadka jadąca wraz z rodziną wołała o tabletki od bólu głowy. Wtedy otwarto drzwi. Proszącą o leki kobietę wprost siłą ściągnięto z wagonu i z umieszczoną na noszach wnet się oddalono. A transport niebawem ruszył dalej, trwając jeszcze dwa dni.

Za Katowicami mieliśmy następny postój. Pozwolono nam wysiąść z wagonów i w polu załatwić swoje potrzeby. Niektórzy mężczyźni wykorzystując sytuację usiłovali uciekać, lub chować się w kopcach zboża. Komuś może udało się zbiec, ale wielu chyba konwojujący Niemcy powystrzelali.

Jeszcze później, nadal nie znając celu podróży, w czasie kolejnego postoju, przy jakimś gospodarstwie, obok naszego wagonu stanęła jakaś mała dziewczynka i cicho powtarzała: „Auschwitz, Auschwitz”. Ale co to był ten Auschwitz? Wtedy ktoś krzyknął to Oświęcim!. Lecz dorośli nadal nie dowierzali. Nas do Oświęcimia z dziećmi? Za co?. Lecz ta mała nie kłamała!

Na miejsce dotarliśmy 11 sierpnia 1944 roku. Jeszcze było jasno kiedy pociąg zatrzymał się na stacji w Oświęcimiu. Pozwolono nam wysiąść, zaczerpnąć gdzieś wody, wyjść za potrzebą. Tylko nie mogliśmy się oddalać. Jednak ta odrobina swobody dała nam złudną nadzieję, że może to jakaś pomyłka i nie wezmą nas do obozu.

Kiedy się ściemniło zapędzono nas wszystkich ponownie do wagonów, a pociąg powolutku ruszył i po niedługiej już chwili wjechał na rampę w Birkenau!.

Podczas wyładowywania nas, rampa była dobrze oświetlona. Wszędzie stali krzyczący „raus” i „sznela” esesmani z ujadającymi psami. Początkowo nie widzieliśmy zbyt wielu więźniów.

Za to ukazał się rozległy obszar porozdzielany jakby na odcinki siatką przyciemnionych światełek, umieszczonych na brzęczących drutach, które były pod napięciem.

Natomiast po przekroczeniu rampy, w dali widniała ogromna luna. To co palono wydzielalo nieznośny mdławy odór. A z ciemności dochodziły głosy, „skąd jesteście”.

Nocowaliśmy w ogromnym stłoczeniu bezpośrednio na klepisku w dwu sąsiadujących barakach lagru „Kanady”.

Z rana przed sauną od przybyłych przyjmowano w depozyt dokumenty, pieniądze i kosztowności. Natomiast w saunie po rozebraniu się do naga należało do papierowych worków włożyć ubrania i wszystko co z sobą przywieźli dorośli. Nasze dziecięce ubrania jako, że miały nam służyć w obozie, powieszono na wieszaczkach w dość sporych z metalowej siatki wózkach, które wjeżdżały do komory dezynfekcyjnej.

Wyjeżdżając z Warszawy zabraliśmy ze sobą psa i kota. Po wyjściu z wagonu nie bardzo wiedziałem co z nimi począć. Psa oddałem więźniowi pomagającemu przy rozładunku. Nie wiem co z nim uczynił, ale przy takim wygłodzeniu tu, to mogę się tylko domyślać...

Kota podarowałem „auzjerce” mówiąc tylko „Bitte”, a ona pogłaskała mnie po głowie. Po rozstaniu z pupilami pozostał głęboki żal.

Narrator:

Wspomnienie z Sauny, miejsca przyjęcia transportów, w którym odbierano ludzką godność przedstawię ja ELŻBIETA SOBCZYŃSKA, numer obozowy 85536

VII. Elżbieta Sobczyńska z domu Grembicka, numer obozowy 85536 „Obozowa sauna”

Jako dziewięcioletnia dziewczynka, w dniu 12 sierpnia 1944 roku z powstańczej Warszawy zostałam przywieziona do obozu koncentracyjnego Auschwitz – Birkenau.

Następnego dnia, po południu wprowadzono nas do Nowej Sauny, w której odbywało się przyjmowanie transportów, a także jednocześnie miejsca, które brutalnie odkryło oblicze obozu.

Los dzieliłam z dwunastoletnim bratem i Matką, którą zawsze uważałam za gwaranta mego bezpieczeństwa. Oni oboje, mieli pełną świadomość czym jest miejsce naszego pobytu, lecz ukrywali to przede mną. Toteż, po przekroczeniu progu sauny, doznałam pierwszego wstrząsu. Tu rozkazano nam bez względu na wiek i płeć, a byli chłopcy do szesnastu lat, rozebrać się do naga. Nie mogłam pogodzić się z koniecznością publicznego obnażenia.

Nagość w mojej rodzinie nie była czymś zwyczajnym lecz, wstydliwym. Nigdy przedtem nie widziałam rozebranej matki. Jej zażenowanie było dla mnie bolesne i to bardzo. Mój Boże, moja Mama, moja świętość została tak bardzo upokorzona na oczach własnych dzieci. Staralam się nie spoglądać poniżej jej twarzy. Ponadto, w saunie dane było mi doświadczyć pierwszej wizualnej lekcji anatomii ludzkiej. Dostrzeżenia niezwykłości pewnych fizjologicznych cech dojrzałej kobiety oraz konfrontacji piękna młodego i brzydoty starego, zdeformowanego przebytą otyłością ciała. Nadmiar obwisłych fałd skórnych budził nie tylko zdziwienie i zainteresowanie, ale przede wszystkim współczucie. W miarę jak zaczęłam oswajać się ze swoją i ludzką nagością, kolejnym upokorzeniem był fakt, przebywania wśród nas Esesmanów. Robili wrażenie jakby przechadzali się wśród stada zwierząt.

W pomieszczeniu, w którym odbywało się strzyżenie wszelkiego owłosienia, oczekiwał mnie kolejny dramat. Świadomość, że mogą obciąć mi warkocze, a głowę ostrzyc do gołej skóry była przerażająca. Uważałam, że taki proceder może usprawiedliwić tylko ich zawalenie. Tymczasem z moich obserwacji wynikało, że włosy obcinano wszystkim, a przeważnie te które były ładne i dobrze utrzymane. Toteż nie wierząc już w żadną sprawiedliwość, której nawet moja mama nie mogła zapewnić, ani mnie obronić, nie zwracając uwagi na miejsce i sytuację, z rozpaczyny wpadłam w histerię. Mama błagała: uspokój się bo nas pozabijają. Nic nie pomogło. Tupałam, krzyczałam i zalewając się łzami broniłam czynnie swoich warkoczy. Przybiegł Niemiec i wprost nie do wiary ale nie pozwolił mi ich obciąć. Jestem dozwonnie mu za to wdzięczna. Gdy opadły moje emocje i poczułam się względnie bezpieczna, dopiero wtedy usłuchałam argumentów mamy, która radziła mi skrócić włosy do wysokości ucha, co

dawało szansę na utrzymanie głowy w czystości. Ona wiedziała, że grożą mi wszy. Zgodziłam się. Jednak podczas postrzyżyn przezornie obydwoma dłońmi i ramionami osłaniałam całą głowę.

Przed wejściem do następnego pomieszczenia stała miska napełniona żrącym płynem, którym dezynfekowano głowy. Zanurzyłam głowę w pośpiechu i z rozmachem, więc zachlapałam sobie oczy, które boleśnie piekły. W podłodze był basenik wypełniony podobną cieczą do dezynfekcji stóp.

W kolejnym pomieszczeniu znajdowały się prysznicze, łała się z nich na przemian raz zimna, raz gorąca woda. Po tej pseudo kąpieli oddawano dzieciom ich własne zdezynfekowane ubrania. Z tym, że na plecach malowano czerwoną, olejną farbą pionowe pasy. Matki nie otrzymały pasiaków, lecz przypadkową cywilną garderobę, na przykład suknie z dekolcami, falbanami, po prostu były to szmaty, nierzadko podarte i poplamione.

W sumie po opuszczeniu sauny ludzie przybyli z Warszawy wyglądali jak grupa żebraków. Tych, których znałam, nie mogłam rozpoznać. Do sauny wszedł człowiek, a z sauny wychodził strzęp człowieka.

16 stycznia 1945 r. przed wywiezieniem połączonych matek z dziećmi do KL Sachsenhausen, znalazłam się w saunie, w grupie rówieśników z bloku i znowu płakałam. Odebrano mi spodnie przywiezione z Warszawy, które chroniły przy dwudziestostopniowym mrozie moje gołe nogi. Kobieta z obsługi zabierając mi je z pasją krzyczała:” To jest własność niemieckiej Rzeszy”. Działo się to na dwa dni, zanim ruszył sławetny marsz śmierci.

Nasze nagłe opuszczenie obozu, wprawdzie szczęśliwie nie przez „komin” krematoryjny, co nam ciągle przepowiadano, wymuszone zostało nadciągającym i bardzo już bliskim frontem wojsk Armii Czerwonej.

Przejęta tym doniosłym wydarzeniem że opuszczam to piekielne miejsce, nie zdawałam sobie sprawy, że z tą chwilą ZWRÓCONO MI ŻYCIE! Ale i nie przypuszczałam, że upragniona i długo oczekiwana wolność, ponownie się oddała. Natomiast zagrożenie przybierze nieco inny charakter, o czym niebawem miałam się przekonać podczas niesłabnących bombardowań Berlina.

Mieliśmy jednak szczęście. Przeżyliśmy! Tak, przeżyliśmy, ale jakżeż bardzo przez wojnę poranieni.

Narrator:

Przywiezione do Auschwitz-Birkenau warszawskie dzieci ulokowano na lagrze kobiecym, w bloku 16 A, obecnie 13. Warunki życia w dziecięcym bloku przedstawi koleżanka Róża Krzywobłocka-Laurów, mająca wówczas 8 lat, nr obozowy 83263.

VIII. Róża Krzywobłocka - Laurów, Elżbieta Sobczyńska „Warunki życia w bloku polskich dzieci w KL Auschwitz-Birkenau nr 16 A, obecnie 13”

My byli więźniowie – dzieci warszawskie, ilekroć jesteśmy w Muzeum Auschwitz-Birkenau, zawsze zdążamy do naszego bloku – jak do siebie, choć uwięzienie w nim do dziś budzi w nas koszmar wspomnień. Za każdym razem dziwimy się, jak mogliśmy w tak nieludzkich warunkach trwać i przetrwać, mimo, że gnębiły nas pluskwy, wszy, szczury, zimno, głód, choroby, strach, wielogodzinne apele w deszczu i mrozie, tęsknota za matkami i wolnością oraz nieprzyjazna wręcz wroga blokowa i jej pomocnice - sztubowe. A teraz są i tacy, którzy spotykając nas w obozie nie mogą lub nie chcą uwierzyć, że polskie dzieci i ich matki też spotkał okrutny los skazania na zagładę w Auschwitz- Birkenau. Po przywiezieniu do obozu transportu ludności cywilnej z Warszawy, oddzieleniu mężczyzn, kobiety i dzieci dzielono na trzy grupy, które rozlokowano w trzech różnych murowanych blokach, usytuowanych jeden za drugim w środkowej części lagru B1a. Blok najbliżej drogi lagrowej, równoległej do rampy przeznaczono dla młodych i starszych, samotnych kobiet. W następnym bloku umieszczono matki oraz kobiety, które zgłosiły, że mają pod opieką dzieci. Trzeci z kolei blok, numer 16a, obecnie 13, przeznaczono dla dzieci do 15 lat obojga płci i kobiet w zaawansowanej ciąży.

Wnętrze bloku „dzieci”, w którym przyszło nam żyć, po oddzieleniu od matek, było podzielone na cztery części, zwane sztubami. Były one całkowicie wypełnione trójpoziomowymi kojami, zbudowanymi z cegieł, pobielonych wapnem. Najniżej położone legowiska za podłogę miały wprost ceglana podłogę. Podstawą dwóch wyższych kondygnacji były deski i tylko te były zasiedlone. Na każdej koi o powierzchni około czterech metrów kwadratowych, leżały szczątki siennika wypełnionego miałką siewką i przetarty koc, który pełnił podwójną funkcję. W dzień wyścielał jej powierzchnię, a nocą służył jako okrycie dla wszystkich jej mieszkańców. Koja bowiem służyła jako „mieszkanie” pięciorgu lub sześciorgu dzieciom, będąc jednocześnie miejscem spania, jedzenia i stałego pobytu.

W pierwszym okresie naszego uwięzienia koszmarem w bloku były pluskwy. Wyłaziły z każdej szczeliny, spadały na głowy z supremowej podsufitki. W nocy nie sposób było spać od bolesnych ukąszeń. Za dnia polowano na wylaniające się z nie otynkowanych ścian koi insekty, zabijając je obcasem buta. Wreszcie wygazowano blok cyklonem „B”. Na czas tej operacji wszystkie dzieci przeniesiono do sąsiedniego baraku matek. Efekt dezynsekcji był zaskakujący. Po powrocie do bloku, na każdej powierzchni leżały warstwy pluskiew. Wtedy dopiero nastał pod tym względem upragniony spokój.

Z myciem były ogromne kłopoty. W początkowym okresie naszego pobytu, dwa lub trzy razy próbowano doprowadzić wszystkie dzieci do niezbyt odległego budynku, w którym był tak zwany „waszraum”. W jego wnętrzu znajdowały się sprzężone ze sobą dwa betonowe

koryta. Ponad nimi biegła rura metalowa, na której w odstępach rozmieszczono krany, do których był dostęp z obu przeciwległych stron. Ale umycie się, mimo najszczerszych chęci było niemożliwe, tak z powodu niebywałego tłoku przy każdym zaworze, jak i krótkiego czasu dopływu zimnej, rdzawej, śmierdzącej wody. Jeśli udało się zamoczyć ręce, to już na pewno nie namydlić „glinianym”, zupełnie nie pieniącym się kawałkiem mydła, następnie umyć je. Wobec tych przeciwności, których doświadczali wszyscy, wypraw do waszraumu zaniechano. Po prostu nie myśleliśmy się wcale! A choroba skóry + świerzb, zwany tu „krecą” szerzyły się zastraszająco. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że w naszym bloku dziecięcym, na jednym z jego końców, za stale zamkniętymi drzwiami, istniało pomieszczenie waszraumu, nawet wyposażone w kamionkowe rynny i krany, tylko nigdy nie podłączone do instalacji wodno-kanalizacyjnej. W późniejszym okresie, chyba aż dwukrotnie zorganizowano dzieciom „kąpiel” w lokalnej saunie lagru B1a. Tam pod prysznicami z gorącą wodą, bez użycia mydła i w wielkim pośpiechu, nareszcie można się było umyć, a właściwie opłukać całe ciało. Ze względu na określoną przepustowość sauny, dzieci wchodziły do niej grupami. Reszta pozostawała na dworze. W lepszej sytuacji znajdowali się ci, którym oczekiwanie przypadło przed odbyciem kąpieli, a nie po niej. Z tej drugiej grupy, wiele dzieci wskutek rozgrzania i nawilgocenia, a następnie wychłodzenia, ulegało przeziębieniu.

Załatwianie czynności fizjologicznych też stanowiło ogromny problem. Początkowo można było korzystać z pobliskiej latryny, położonej niedaleko waszraumu. Był to podłużny, murowany budynek, w środku znajdował się kanał z nieczystościami, do którego dojście znajdowało się po obu stronach. Na betonowej obudowie kanału znajdowały się liczne, okrągłe otwory. Były one na tyle duże, że w obawie, aby nie wpaść przez nie do środka, siadało się na nich z dużą ostrożnością. Do latryny chodziło się zbiorowo. Sprowadzanie z bloku jednocześnie wielkiej gromady dzieci, powodowało, że do każdego „sedesu” – olbrzymiego otworu w kanale kloacznym, ustawiała się kolejka, co stwarzało atmosferę pośpiechu, tłoku i braku intymności. Najgorzej miały te dzieci, które chorowały na durchfall, czyli biegunkę głodową, lało się nich bez przerwy. Nieszczęśnicy ci najchętniej nie wstawiliby z raz zajętego miejsca. Wtedy tworzyły się zatory, a czas pobytu w latrynie przedłużał się znacznie. Toteż niebawem wyprawy do latryny zostały zaniechane. Sprawę rozwiązano przez postawienie w jednym z pomieszczeń bloku dwóch metalowych pojemników na fekalia, zwanych „kiblami”. Od tego czasu, zawsze do nich stała kolejka dzieci. „Kible” z nieczystościami wносиły do latryny starsze koleżanki, za co podobno dostawały dodatkowy kawałek chleba, tak zwaną „culagę”. Pomimo przykrej funkcji, chętnych nie brakowało. Zupełnie jednak sobie nie przypominamy, aby ktokolwiek w obozie, a z pewnością dzieci, używały jakiegokolwiek papieru higienicznego, miało grzebień, myło zęby, kubek po zupie, zmieniało bieliznę, czy przebierało się do snu.

Środek bloku, na wprost drzwi wejściowych stanowił wolną przestrzeń, coś w rodzaju dużego holu, którego przeciwległe ściany ozdobiono malowidłami o tematyce dziecięcej. Byliśmy świadkami tworzenia tych obrazków.

Pewnego dnia do bloku przyszedł niezbyt wysoki, szczupły, dorosły człowiek w pasiaku i więziennym berecie. Było to wydarzenie niezwykle, gdyż mężczyźni poza SS-manami, nigdy nas nie odwiedzali, a on w dodatku zaczął malować.

Na jednej ścianie narysował drzewa i budynek szkolny, do którego zmierzał chłopiec w bereciku z „antenką” i tornistrem na plecach, z którego na sznurku zwisała okrągła gąbka.

Przeciwległą ścianę ozdobił prostym w formie rysunkiem, czworga dzieci z zabawkami. Kto inspirował wykonanie tych malowideł nie wiemy i pewnie już się nie dowiemy, ale z całą pewnością powstały one podczas naszego pobytu w bloku dziecięcym 16a, późną jesienią 1944 roku.

Narrator:

Swoją samotność w obozie, po stracie Ojca, przybliży nam Henryk Duszyk, który miał zaledwie 9 lat, gdy został uwięziony w Auschwitz – Birkenau.

IX. Henryk Duszyk, numer obozowy 192692 „Samotność dziecka na męskim lagrze w Birkenau”

Choć w Auschwitz – Birkenau uwięziony zostałem z całą rodziną, to niebawem, mając zaledwie 9 lat, zostałem w obozie sam. Mamy nie znałem. Zmarła gdy miałem 2 lata, więc jej bliskości nawet nie umiem sobie wyobrazić.

14. letnią siostrę Polę i macochę umieszczone początkowo w kobiecym lagrze FKL-u, wkrótce transportem wywieziono z obozu. Wiele, wiele lat po wojnie dowiedziałem się dopiero, że był to obóz koncentracyjny w Bergen – Belsen, w głębi Niemiec, gdzie siostra zmarła chorując na tyfus.

A ojciec? Tak bliskiego mi Ojca też wkrótce zabrakło. Pozostało tylko pieczołowicie zachowane o nim wspomnienie, które głęboko zapadło w mej pamięci na zawsze. Oto ono.

Niedługo po przeniesieniu mnie wraz z innymi chłopcami z bloku dziecięcego 16A odcinka kobiecego, na kwarantannę męskiego lagru BII A, przyszedł do mnie ojciec!

To był jedyny raz kiedy spotkaliśmy się w obozie. Usiadł na progu mojego bloku. Popatrzył na mnie gdy przybiegłem, a ja rzuciłem się mu na szyję. Ale czasu na rozmowę już nie starczyło. Ojciec musiał pospiesznie wracać na swój blok. Następnego dnia szukałem go wśród więźniów lecz bezskutecznie. Nie odnalazłem.

Był to ostatni raz w życiu, gdy widziałem Ojca! Dużo później, bo w październiku dowiedziałem się, że nie żyje! Wtedy poczułem się na świecie zupełnie sam. Do dziś nie wiem, co się z nim dokładnie stało! Co gorsza, uświadomiłem sobie, że nie było już nikogo, komu mógłbym się poskarżyć i wypłakać:

- że brutalny blokowy męczył ćwiczeniami, każąc skakać żabką dookoła bloku do utraty sił, albo dotkliwie bił;

- że był taki esesman Beretzki, zniemczony Polak, który także celował w znęcaniu się nad chłopcami. Szczególnie podczas deszczowych dni z lubością wydawał komendę: „padnij - powstań, padnij – powstań”, a my musieliśmy rzucać się w błoto i kałuże, podczas gdy był już dotkliwy chłód;

- że dwa razy bezlitośnie zostałem pobity. Raz przez esesmana napotkanego pomiędzy blokami, który po spoliczkowaniu jeszcze mnie skopał i nawet nie wiem za co. Za drugim razem, zimą gdy nieświadomie ośmieliłem się poślizgać na zamrożonym basenie przeciwpożarowym, funkcyjny z bloku nie tylko mnie skatował, powalając na ziemię, ale jednocześnie pozbawił obiadu i kolacji, co było niebywałą karą przy takim wygłodzeniu;

- że szykany te nie tylko były bolesne, ale i bardzo upokarzające;

- że załadowany olbrzymi wóz, zwany rolwągą, pomimo, że był bardzo ciężki, to my chłopcy, choć w kilkunastu, musieliśmy go pchać i ciągnąć nierzadko po błocie.

Zabrakło także współczującego Ojca, któremu mógłbym wyzalić się z mej samotności i lęku o życie na widok komina krematoryjnego, z którego buchały płomienie, a nad nimi wisiała gęsta czarna chmura dymu.

Nie było go także, kiedy przeraziły słowa przygodnego więźnia, który oznajmił „ Tam się palą ludzie. Nas to też czeka”!

Słowami tymi tak się przejąłem i ogromnie wystraszyłem, że już za wszelką cenę pragnąłem obóz opuścić! Ale jak?. Czyżby było to kiedykolwiek rzeczywiście możliwe ?

Narrator:

Na skutek ekstremalnych warunków bytowania, dzieci zaczęły chorować. Szerzy się : szkarlatyna, dyfteryt, zapalenie płuc i pęcherza, świerzb, krwawa dyzenteria, tyfus....Róża Krzywobłocka – Laurów, „Bandytka Warszawska”, gdyż tak Niemcy określali przywiezionych z Powstania Warszawskiego, miała zaledwie 8 lat, opowie o pobycie w szpitalu obozowym. W Birkenau została uwięziona z matką, babcią i 15 – letnią siostrą Bożeną.

X. Róża Krzywobłocka-Laurów, nr obozowy 83263, „Rewir - obozowy szpital kobiecy”

Obie z siostrą zostałyśmy zagnane do bloku numer 16A, zwanego dziecięcym. Piętrowe koje w ogromnym baraku – dla niektórych miejsce życia na najbliższe pół roku.

Mnie było pisane co innego, gdyż już 30 sierpnia 1944 roku znalazłam się na rewirze, czyli w szpitalu obozowym, z podejrzeniem o szkarlatynę. Myślę, że nie byłam wtedy jeszcze chora. Zaraziłam się szkarlatyną dopiero na rewirze. Jednak werdykt wyjątkowo złośliwej felczerki w stosunku do dzieci z transportu warszawskiego, więźniarki kryminalnej z zielonym winklem, był jednoznaczny – chora. Musiałam zostać na rewirze.

Był to bardzo dziwny szpital zakaźny, położony na tym samym lagrze FKL, ale za dodatkowym rowem i drutami. W jednym baraku, na sąsiadujących ze sobą trzypiętrowych kojach leżały chore dzieci i dorosłe kobiety, cierpiące na różne choroby zakaźne, poczynając od mojej nieszczęsnej szkarlatyny, poprzez różnego rodzaju biegunki, tyfus plamisty aż do chorób wenerycznych, w różnych stadiach rozwoju. Większość chorych były to kobiety żydowskiego pochodzenia deportowane do Auschwitz – Birkenau z różnych krajów Europy.

Rozłąka z rodziną i brak jakichkolwiek wiadomości o niej, gdyż tylko raz w ciągu mojego pobytu w szpitalu udało się mojej mamie, za cenę niesienia nieboszczyka przez 4 kilometry dostać się do mnie na chwilę, spowodowało, że gorączkowo zaczęłam myśleć, jak wcześniej, niż to było przewidziane, opuścić rewir. Wpadłam na pomysł, że im szybciej pozbędę się łuszczącej skóry, tym szybciej wyjdę z rewiru. Czekало mnie tylko jeszcze odwszenie i łaźnia. W warunkach obozowych polegało to na przebywaniu po gorącym prysznicu nago, na wietrze i zimnie przez kilka godzin w oczekiwaniu na odwszone ubranie. Toteż moja radość z powrotu na blok dzieci zdrowych i połączenia się z siostrą nie trwała długo. Znów wylądowałam na rewirze, tym razem z ostrym zapaleniem płuc i stawów. Na domiar złego przez te kilka dni pobytu z moją ukochaną siostrą na jednej koi zaraziłam ją nie wyleczoną szkarlatyną. Tym razem ona musiała iść na rewir.

Tak jak wiele w obozie chorych dzieci swoje ocalenie zawdzięczałyśmy opiece polskich lekarek, także więźniarek Auschwitz – Birkenau, które tylko sobie znanymi metodami potrafiły zdobyć leki i przywrócić nas do zdrowia, na tyle, że mogłyśmy wrócić na blok dzieci zdrowych. Umożliwiło to nam opuszczenie Auschwitz – Birkenau w połowie stycznia 1945 roku. Zostałyśmy wysłane transportem do Berlina, do filii obozu koncentracyjnego w Oranienburgu, do tak zwanych SS - Baubrygad, rozrzuconych na terenie samego Berlina i jego okolic. Tam dożyłyśmy wyzwolenia przez Armię Radziecką.

Narrator:

Obozowy rewir, którego więźniowie bali się ogromnie z powodu częstych selekcji do gazu, był także miejscem częściowo chroniącym od przeżywania brutalnej rzeczywistości. Jerzy Ulatowski przedstawi swoje wspomnienia z pobytu na rewirze.

XI. Jerzy Maria Ulatowski, nr obozowy 192823 „Męski rewir”

Nazywam się Jerzy Maria Ulatowski. Miałem 13 lat, kiedy z matką i jedenastoletnią siostrą, transportem z Powstania Warszawskiego 12 sierpnia 1944 roku, zostałem przywieziony do obozu koncentracyjnego w Auschwitz – Birkenau.

Otrzymałem numer 192823, rozdzielono mnie z matką i siostrą. Poszły na obóz kobiecy, ja znalazłem się na kwarantannie, w męskim obozie. Pozbawiony opieki matki oraz jakiegokolwiek z nią kontaktu, któregoś dnia postanowiłem po prostu położyć się pod barakiem i czekać – nie bardzo wiadomo na co. Tam odnalazł mnie wujek, który do Auschwitz trafił półtora roku wcześniej. Wujek pełnił w obozie Auschwitz funkcję tzw. Rejestratora zmarłych, co umożliwiało mu przemieszczanie się wewnątrz całego obozu. To jemu i jego kontaktom z tak zwanymi „starymi więźniami” zawdzięczam trzykrotny pobyt na rewirze. Byłem uratowany. Rewir to obozowy szpital. Takie same baraki jak wszystkie pozostałe. Trzypiętrowe prycze, a na nich od sześciu do ośmiu więźniów na każdym poziomie. Kiedy chorzy chcieli zmienić pozycję, musieli robić to wszyscy jednocześnie. Gdy chory umierał, resztę nocy spędzał zrzucony na ziemię.

We wrześniu 1944 roku byłem świadkiem selekcji na rewirze z udziałem doktora Mengele. Kiedy on przychodził na rewir, więźniowie stawali w szeregu. Wybierał tych, których, jego zdaniem nie opłacało się dłużej leczyć. Tych, których wskazał czekała śmierć w komorze gazowej. Tego dnia Mengele szedł powoli, minął mnie. Zatrzymując się obok wybrał dwóch dorosłych Żydów, moich towarzyszy z pryczy. Zostali wyselekcjonowani. Jeden z nich podszedł do mnie mówiąc: „Żegnaj. Nazywam się Pański. Jeśli uda ci się stąd wydostać, opowiedz, co się ze mną stało. Masz tu moją szczoteczkę do zębów, mnie już nie będzie potrzebna. Najpóźniej za dwie godziny wyfrunę stąd do nieba przez komin”. Do końca życia będę pamiętał szczoteczkę Pańskiego.

Innym razem, z powodu obustronnego zapalenia ucha środkowego, pielęgniarz wieczorem zrobił mi okład na uszy z ichtiolu i zabandażował głowę papierem toaletowym. To był „bandaż”. Kiedy rano otworzyłem oczy, moi towarzysze szpitalni pochyleni nade mną, wskazywali ze śmiechem moją głowę. Okazało się że w nocy, zwabiony zapachem ichtiolu, szczur wygryzł w papierze toaletowym dziurę i pożarł opatrunek. Wyjątkowo mocno spałem tej nocy. Nic nie czułem. I jeszcze jedno przeżycie – wspomnienie. Nagi, więzień, rozkrzyżowane ramiona, za które mocno trzymają pielęgniarze, a lekarz SS robi punkcję, wkłuwając się bez znieczulenia w kręgosłup trzymanego. Wycie, jakie wydobywało się z piersi chorego, trudno zapomnieć. To musiał być śmiertelny ból.

Narrator:

Jesteśmy coraz bardziej głodni. Nasze rozmowy to marzenia o jedzeniu!

Janina Reklajtis, mająca 10 lat, uwięziona w Auschwitz – Birkenau z matką i 16 letnim bratem, opowie o znalezionym „SKARBIE” i pysznej polewce.

XII. Janina Reklajtis, z domu Papiernik, „Dzieci są głodne”

W okresie trwającej kwarantanny uprawialiśmy przymusowy spacer. Nieodmienna trasa wiodła pomiędzy naszym, a blokiem matek dookoła placu apelowego, odgrodzonego pojedynczym drutem kolczastym od wewnętrznej ulicy lagrowej. Przechodząc tuż przy jej brzegu wypatrzyłam „SKARB”. Była to wdeptana w zaschnięte gliniane błoto mało widoczna pajdka chleba! Widok ten spowodował, że z przejścia zaschło mi w gardle. Podniosłam ją jednak odruchowo i bardzo szybko. Nie wzbudzając na szczęście niczyjej uwagi natychmiast ukryłam ją w dłoni wiedząc, że takie nadzwyczajne znalezisko wzbudziłoby zazdrość i pożądanie innych! W bloku ukradkiem oczyściłam chleb z błota i bez namysłu zjadłam uszczęśliwiona, pomimo, że piasek trzeszczał mi w zębach. W prawdzie głodu nie zaspokoiliam, ale zaczęłam rozmyślać. Kto mógłby zgubić tę piętke chleba? Może zguba była resztką dziennej porcji umożliwiającej przetrwanie dnia? Przyszła mi nawet na myśl rozpacz tej osoby, która to cenne dobro straciła. A może miała tę świadomość, że ją gubi lecz sytuacja nie sprzyjała aby się po nią schylić i odzyskać? Tyle dylematów bez odpowiedzi, choć nie całkiem.

Dziś, gdy chleba powszedniego jest nadmiar, kiedy niejednokrotnie go ludzie nie cenią i wyrzucają, to zawsze mam w pamięci ten szczęśliwy dla mnie incydent obozowy.

Ja bardzo szanuję chleb!

Mam jeszcze inne wspomnienie dotyczące głodu w obozie.

Otóż pewnego zimowego dnia, sztubowa gotowała pyzy. Skąd wzięła ziemniaki tego nie wiem. Zapach ich gotowania rozchodził się wszędzie i zaostrzał głód. Niektóre z dzieci dostały nawet po jednej klusce – ja nie! I o dziwo, nawet nie było mi żal. A to dlatego, że ja marzyłam tylko o polewce, w której owe pyzy były gotowane. Ja po prostu pragnęłam się jej trochę napić, aby rozgrzać pusty żołądek. Ale i tego mi los poskąpił.

To ówczesne niespełnienie tak dalece we mnie zapadło i nadal tkwi, że kiedy dziś gotuję pyzy to zawsze nieodwołalnie muszę napić się polewki. A ona nadal, mimo upływu lat, jawi mi się jako najwspanialszy przysmak! Dzieje się tak, gdyż obozowe doznania nie znikają nigdy.

Narrator:

Elżbieta Sobczyńska „Los warszawskich rodzin w Auschwitz – Birkenau”

W „Księżce Pamięci” – transportów Polaków z Warszawy do KL Auschwitz – Birkenau w latach 1940 – 1944 zanotowano, że liczba ludności cywilnej, wypędzonej masowo po wybuchu Powstania w Warszawie i uwięzionej w obozach koncentracyjnych wynosiła łącznie około 55 tysięcy, z czego 12863 osoby, w tym mężczyźni, kobiety i dzieci, skierowano do KL Auschwitz-Birkenau.

Czy świat o tej publikacji, zawierającej tę Hiobową prawdę o ludności polskiej z Warszawy wie? Podejrzewam, że raczej nie lub bardzo mało! A tym bardziej, co w obozie Ci niewinni polscy cywile z Warszawy przeżywali. Jakie doznania im Niemcy zgotowali i co w najbliższym czasie z nimi się stało. Otóż los naszych Ojców był bardzo tragiczny!

Ojców jako mężczyzn już na wstępie, po wejściu do obozu odłączono od rodzin. Aby niebawem selekcyjując według posiadanych zawodowych umiejętności wykorzystać we właściwych zakładach zbrojeniowych pracujących w Niemczech na rzecz III Rzeszy. Tych innych nie „fachowców” mając ich pod dostatkiem, na podmianę zamęczonych, skazano na wyniszczającą morderczą pracę w kamieniołomach i przemyśle wydobywczym. Ci to ojcowie w ogromnym procencie nie wrócili do bliskich nigdy, pozostając w bezimiennych grobach na niemieckiej ziemi!

A nasze matki?

Cóż za gehennę musiały przeżywać te kobiety oddzielane od własnych i to bardzo nieletnich dzieci. Jak mierzyć ich rozpacz, gdy miały pełną świadomość ich nieodwołalnej zagłady lub sierociego losu? Co czuły ogarnięte własną niemocą podczas koszmaru przenoszenia wszystkich chłopców na męski lager, kiedy to protestującym i szalejącym z rozpaczą, funkcyjne cynicznie radziły spokój, grożąc „Kominem”.

Ale, kiedy niebawem i je same przeniesiono na inny lager, wtedy dzieci straszono, że matki poszły w „TRANSPORT”, a wśród kobiet rozpuszczano perfidną plotkę, ŻE DZIECI JUŻ NIE MA!

A kobiety w ciąży? Czyż w stosunku do przyszłych matek i jeszcze nienarodzonych ich dzieci nie dopuszczono się wtedy barbarzyństwa? Czyż donoszenie ciąży oraz poród w ekstremalnych warunkach, gdyż nawet podczas marszu śmierci, nie był szczytem bohaterstwa psychicznego i fizycznego tych kobiet?

A że odbyły się w Auschwitz – Birkenau takie porody wiemy, gdyż nieliczni tam urodzeni, którym się udało przeżyć są wśród nas. Ich wspomnienia to przekaz matek, a dziedzictwo słabe zdrowie!

Zofia Wareluk z domu Chyłkiewicz, urodzona w obozie 13 stycznia 1945 roku, odczyta opis okoliczności i warunków przyjścia jej na świat, według wspomnienia pielęgniarki Apolonii Dolińskiej.

XIII. Zofia Wareluk „Urodzona w obozie”

Relacja Apolonii Dolińskiej, dyplomowanej pielęgniarce, byłego więźnia politycznego KL Auschwitz-Birkenau, nr obozowy 83703

Zaświadczam, że w dniu 13 stycznia 1945 roku w tym obozie, więźniarka Jadwiga Chyłkiewicz urodziła dziewczynkę.

W jakich warunkach rodziła, trudno sobie wyobrazić. Na koi bród, zakrwawiona słoma, brak wody. Urodzone dziecko ważyło na oko (brak wagi) około 900 – 1000 gramów. Było chude, wyniszczone, wygląd starczy. Cała skóra pomarszczona. Nie było w stanie wydobyć z siebie krzyku, słychać było tylko jego kwilenie. Jedna z więźniarek, narażając swoje życie, zorganizowała trochę mleka dla matki. To niemowlę nie miało szans przeżycia. Bałam się, że mogą przyjść Niemcy i zabrać je od matki. Byłam świadkiem niejednego porodu, kiedy maleństwo zabierano matce. W tym czasie w obozie panował wielki ruch, gdyż szykowano nas do ewakuacji. Dlatego, czym prędzej ochrzciliśmy to maleństwo z wody, bojąc się, że nie przeżyje. Na drugi dzień dziecko jeszcze żyło. 17 stycznia 1945 roku, po południu przyszedli Niemcy i wypędzili nas z bloku. Czekaliśmy już tylko na wyprowadzenie z obozu. Dalszego losu matki i dziecka nie znałam. Po wojnie, kilkanaście lat później, zostałam odszukana przez urodzoną w obozie. Była ona szczegółowo poinformowana o swoich urodzinach przez matkę. Zosia przeżyła tylko dzięki wyzwoleniu obozu w dniu 27 stycznia 1945 roku.

Warszawa, 21. V. 2007r.

Apolonia Dolińska

Pamięć o tych niemowlętach, które nie miały szczęścia dalej żyć, jest tylko relacja świadka.

Niebawem i ciężarne kobiety zostały zabrane z naszego bloku i ulokowane gdzie indziej. Z ich pobytom na dziecięcym bloku dowiedziałam się, co oznacza słowo „ciąża”, choć nadal nie pojmowałam całej fizjologii poczęcia i rodzenia się człowieka. Aż tu nagle, już na jesieni, zobaczyłam i zetknęłam się osobiście, po raz pierwszy w życiu, z maleńkim noworodkiem. Nigdy do tej pory nie miałam takiej możliwości. Stało się to dlatego, że moje legowisko sąsiadowało z koją przy oknie, udostępnionej kobiecie, której macierzyństwo miało się zrealizować w tym nieprawdopodobnym miejscu i czasie. Byłam też świadkiem jej bezsilnego borykania się o zabezpieczenie dziecku minimalnych potrzeb do przeżycia. Na szmatę, która służyła za pieluchę, wylał się jakiś płyn. Noc zbliżała się a ona nie miała w co dziecka zawinąć. Jej rozpacz spowodowała, że uparcie suszyłam ten gałgan przy stygnącym piecyku. To wydarzenie zbliżyło nas. Spotkałyśmy się później, przy odgruzowaniu w Berlinie, choć wyjechała innym transportem. Wtedy dowiedziałam się, że przed opuszczeniem obozu podczas kąpeli w saunie, najpierw rozgrzane, a potem nagle schłodzone dziecko, dostało zapalenia płuc i zmarło w drodze do Niemiec.

Narrator:

Wiesława Borysiewicz, uwięziona w Auschwitz – Birkenau z matką, ojcem, 17-letnim bratem i 11-letnią siostrą, sama miała wówczas 15 lat. Swym opowiadaniem przybliży tragizm losu matki i ojca, ich niewolniczą pracę w obozach i stosowane tam kary.

XIV. Wiesława Borysiewicz, z domu Kajak, numer obozowy 83267 „Tragizm losu rodziców”

Po upokarzającym pobycie w Saunie, niepodobne do siebie, po podcięciu włosów, ubrane w cywilne szmaty i oznaczeniu numerem jako znakiem tożsamości, w obozie stało się coś bardzo złego. Odłączono wszystkie dzieci od matek. Pomimo, że miałam już 15 lat, a siostra Barbara zaledwie 11 lat, obie zostałyśmy umieszczone w lagrze FKL-u, w bloku dzieci 16A – obecnie nr 13. Przebywałam w nim jednak zaledwie dobę.

Chcąc wesprzeć psychicznie podłamaną mamę na skutek rozłąki, nie tylko z mężem, synem, ale i z córkami, uprosiłam blokową aby mnie przeniosła do jej bloku. Gdy szczęśliwie do tego doszło, znowu mogłyśmy cieszyć się sobą, choć nadal martwiłyśmy się o tatę i brata, gdyż o ich losie nadal nic nie było wiadomo.

Dopiero po wojnie dowiedziałyśmy się, co ich obu spotkało z chwilą rozdzielenia z nami na rampie Birkenau, 12 sierpnia 1944 roku. Otóż w krótkim czasie transportem zostali przeniesieni do koncentracyjnego obozu w Natzweiler, gdzie morderczo pracowali w komandzie Dantmergen, przy wydobywaniu łupków skalnych. Tam ojciec zginął w styczniu 1945 roku.

Tymczasem będąc już na bloku kobiet mogłam obserwować zachowania matek i najlepiej wiem jak drżały o bezpieczeństwo dzieci, z którymi zabroniono im kontaktu. Jak oczekiwały na każdą najmniejszą wzmiankę o dzieciach i od dzieci, chociażby jedno słowo, które było już wielką pociechą i dużą ulgą, bo żyje! Lecz z tym pisaniem były ogromne problemy! Każdy skrawek papieru i szczątek ołówka był wprost skarbem. Choć jeszcze bardziej była bezcenna ofiarność i odwaga tych, którzy te grypsy zmyślnie schowane, przez liczne bramy i stojące tam „wachy” przynosili. Chwała im za ofiarność i odwagę, bo narażali swoje życie.

Początkowo nie włączono mnie do komanda pracy matek, lecz zostałam wyznaczona do lżejszych zajęć jakim było utrzymywanie porządku w bloku, pomocy przy rozdziale porcji żywnościowej, a także przynoszenia prowiantu z odległej kuchni obozowej. Jednakże ciężkie kotły z zupą i ziólkami pomimo, że niosły je cztery kobiety były ponad moje siły. Objąłam sobie nimi dotkliwie nogi, gdyż przy dźwiganiu nie było równowagi niosących.

Lecz po przeniesieniu na Lager Cygański zostałam już włączona do komanda, które do pracy chodziło na bardzo odległy lager BIb. Praca polegała na pleceniu warkoczy z wąskich i krótkich, o różnej długości pasków gumy. Gotowy warkocz musiał osiągnąć 20 metrów i nie miał prawa się zerwać przy próbie na wytrzymałość. Przy tej pracy ogromnie raniłam sobie dłonie. Widząc to nadzorujący więźniów Kapo Władysław ze Śląska, zresztą bardzo porządny człowiek, przeniósł mnie wtedy do plecenia takich samych warkoczy, ale ze sznurka. Było mi wtedy o wiele lżej. Był człowiekiem o złotym sercu, nigdy na żadną z pracujących kobiet, nawet nie krzyknął.

Nie przypuszczałam też, że w obozie i ja zasłużę sobie na duże bicie, a jednak stało się! Pewnego razu w czasie wizytacji bloku przez esesmana zostałam wraz z mamą objęta

chłostą. Kiedy sprawdzał porządek w bloku zwrócił uwagę na rząd butów. Według regulaminu wszystkie winny być ustawione w szeregu pod pryzmami. Brakowało siedmiu par. Odnalazł je na belce przy ścianie, tam ukryte przed kradzieżą lub podmianą. Odchodząc wszystkie zabrał bez słowa. Byłyśmy pełne niepokoju co będzie, gdy przyjdzie boso w zimę wyjść na apel. Mama jednak była dobrej myśli. Twierdziła, że on wróci przed apelem i tak się też stało. Przyszedł z butami, ale i z pejczem. Obuwie postawił na piecu i biorąc po jednej parze wywołał poszczególne ich właścicielki. Zanim jednak oddał buty to każda dostawała chłostę. Bił tym przyniesionym pejczem, na którego końcu była osadzona elipsa z ołowiu. Najpierw poszła Mama. Dostała baty, a dopiero potem buty. Kiedy przyszła moja kolej Mama chciała mnie zastąpić. Siłą powstrzymały ją kobiety z koi. Poszłam sama po swoje buty. Stałam wyprostowana i czekałam. Popatrzył na mnie, przechylił na piec i trafił prosto w pośladki. Ile razy dostałam tego nie wiem, ale pamiętam, że przez długi czas miałam je czarne, a dotkliwy ból uniemożliwiał spanie i siedzenie. Moja mama z rozpaczą obserwowała jak oprawca znęca się nad jej dzieckiem, lecz nie mogła stanąć w jego obronie, aby zachować własne życie.

Jedna z kobiet podczas bicia bardzo się szarpała. Została tak dotkliwie skatowana, że jeszcze przed apelem zabrano ją na rewir, z którego już nigdy nie wróciła.

Narrator:

Przedstawię trzy fragmenty kontaktów z Mamą, w których zawrę nasze wzajemne o siebie obawy, oraz jak zrozumiałam, że straciłam w niej oparcie.

XV. Elżbieta Sobczyńska, z domu Gremblicka „Moje relacje z mamą w obozie”

Po odejściu brata Leszka na męski lager, dla mnie i Mamy miało być chwilową pociechą bliskie sąsiedztwo bloków, rozdzielonych niewielką przestrzenią pozbawioną chociażby jednej trawki, za to w dni słotne przemieniającą się w błotne grzęzawisko.

Pewnego słonecznego dnia nadarzyła się wyjątkowa okazja, że Mama przyszła na mój placyk apelowy. Wtedy przycupnięta na jakiejś cegle, a ja usadowiona na jej kolanach wysłuchiwałam, że rodziny, z którą nie utrzymywaliśmy kontaktu, mogą szukać „tu a tu”, że jej panięńskie nazwisko Głogowska, urodziła się w Pruszkowie – Żbikowie oraz wiele trudnych do spamiętania na poczekaniu dat urodzenia: Mamy, Taty, Brata, a ponadto ćwiczyłyśmy mój „olbrzymiasty” pięciocyfrowy numer jako nowy znak tożsamości.

I choć wiedziałam już gdzie jestem, bo słup ognia nad kominem krematoryjnym widniał, wprawdzie w głębi obozu z dala, ale bardzo wyraźnie, to w bezpośrednim z Mamą kontakcie czułam się bezpieczna.

Dlatego też niechętna byłam tej lawinie zbytecznej w moim odczuciu, edukacji na wypadek gdyby „co”. Ale tego „co” Mama nigdy nie kończyła. Nie ujawniała także, co w głębi ducha przeżywała i jakie fale rozpaczyny ją targały. A ja ciągle nie chciałam pojąć, że tak zawsze być nie musi lub niezależnie od Mamy być nie może pomimo, że ona w tej chwili jest w zasięgu ręki tuż, tuż. Po prostu być z Mamą i przy niej było mi dobrze i nic innego w tamtej chwili mnie nie obchodziło. Moje rozstanie z Mamą, którego zawsze bałam się przeogromnie, nastąpiło nagle. Zachorowała na tyfus, więc nie przebywała już w bloku obok, lecz w szpitalu, tak zwanym rewirze lagru BIIa.

Przeciągająca się nieobecność Mamy i brak wiadomości o niej wywołało u mnie poczucie osamotnienia. Ponadto uległam psychozie, że podczas selekcji mogę ją stracić na zawsze! To przeświadczenie spowodowało, że przestały mnie interesować wydarzenia mające miejsce obok, jak i bezpośrednio dotyczące. Zaczęło mi być wszystko jedno, dokąd nas prowadzą i w jakim celu. Po prostu uległam apatii i całkowitemu zubożeniu na realia, które mnie otaczały.

Zwiastunem chwilowej nadziei, a tym samym ożywienia były tylko dwa zaledwie grypsy od Mamy, pisane bardzo niewyraźnie na bandażu, podobnym do papieru higienicznego. Z trudem odczytałam „Kochana Elżuniu”! Dalej było mało czytelne, ale wystarczyło! Nikt tak do mnie się nie zwracał. Wiedziałam, że pisze Mama, że jest w obozie, a co najważniejsze żyje!

Od tej chwili, wszystko, co tak potwornie realne, łatwiejsze było w przetrwaniu. Bardzo swędzący świerzb, który szerzył się zastraszająco, bo od przybycia do obozu nikt się nie mył, zaropiałe oczy, długie apele nierzadko w deszczu, a potem i mrozie, głód, zimno, pluskwy, szcury, tęsknota, samotność oraz wszelkiego rodzaju lęki, od których nie byłam wolna.

Pod koniec grudnia, nastąpiło jakby rozluźnienie dyscypliny. Postanowiłam to wykorzystać i na własną rękę nikogo nie prosząc o zgodę, odwiedzić na rewirze Mamę, której tak długo nie widziałam. Oprócz tęsknoty, powodów, którymi się kierowałam było wiele.

Bolał mnie tego dnia brzuch, miałam obtartą piętę i brzemieniem nie rozgrzeszonej winy, nadal ciążyła mi kradzież mego paltka. Wybrałam się, gdy było już ciemno, ale dość czasu do wieczornego apelu. Rewir był chyba przedostatnim w ulicy lagrowej, a za nim tylko trupiarnia. Wiedziałam, że mogę wejść tylko drzwiami od słabo oświetlonych drutów. Szłam, zatem wzdłuż baraku. Blask światła pozostawał za moimi plecami. Wtedy ku memu przerażeniu dostrzegłam, że gdzieś przy jego końcu pod ścianą, leżą jedne na drugich sterty nagich trupów, a w nich coś się rusza. Zawracałam trzykrotnie nim przewyciężyłam strach i dotarłam do Mamy. W końcu przytuliłyśmy się do siebie, bo mama była już w trakcie rekonwalescencji. Lecz radość spotkania stopniowo odpływała, gaszona natrętnymi myślami.

Co stanie się, gdy odkryją, że mnie nie ma w baraku? Jak wyjdę sama w te ciemności i przebrnę obok martwych ciał, w których buszują szczury? Jak zdążę przejść niezauważona przez cały długi lager, gdy nagle ogłoszą blocksperrę?

Boże! Gdzie podziało się to bezpieczeństwo, którego ostoją zawsze była mi Mama?

I wtedy, pomimo, że nadal siedziałam na jej kolanach, poczułam się nagle bardzo zagrożona i przeogromnie samotna, a miałam zaledwie dziesięć lat.

Narrator:

Zbliżał się grudzień 1944 roku, a z nim zawsze radośnie obchodzone w polskich domach Święta Bożego Narodzenia.

Wigilię w scenerii lagru męskiego w Birkenau, odłączony od matki, ojca i siostry, mający wówczas 12 lat, opisał nieżyjący już, Jacek Kublik. Wspomnienie to odczyta jego o 4. lata młodsza siostra - Urszula Koperska, również więźniarka Auschwitz-Birkenau, nr 84457.

XVI. Jacek Kublik, nr obozowy 192761 „Wigilia w obozie, 24 grudnia 1944r.”

Dziś wigilia. Wcześniej zakończyliśmy prace przy rolwadze. Apel nieco krótszy. Obiad: po 5. ugotowanych kartofli w łupinach, trochę zupy z całymi liśćmi jarmużu.

Wydano od razu kolację: pajdka czarnego chleba, cieniutki plasterek końskiej kiełbasy, kawałeczek margaryny.

Na koi śpi nas ośmiu. Postanowiliśmy wspólnie zjeść dzisiejsza kolację. Zupę każdy wypił sam. Kartofle złożyliśmy do jednej pasiastej mycki. Wspólnie je obieramy. Chleb pokroiliśmy na kromki. Jedna jest bardzo cieniutka – to będzie opłatek! Kolacja przygotowana. Zasłoniliśmy kocami boki koi - chcemy być sami. Tak robią ci nad nami, ci pod nami i inni.

Dzielimy się kawałkiem czarnego chleba jak opłatkiem: „Abyśmy przeżyli i byli wolni”, „Abyśmy spotkali naszych bliskich żywych i zdrowych”..... Myśl ucieka do Warszawy, na lager BII E do Matki i Siostry, w nieznane – do Ojca. Każdemu chyba chce się płakać, ale nikt nie płacze! W milczeniu zjedliśmy dzisiaj wszystko. Chociaż dziś być sytym. A jutro..... nieważne! Kolacja trwała krótko – nie było przecież wiele do jedzenia.

I nagle na bloku rozbrzmiała stara, polska kolęda: „Bóg się rodzi”. Śpiewają wszyscy, a szczególnie mocno i głośno zabrzmiały słowa:

„Podnieś rękę Boże Dziecię,

Błogosław Ojczyznę miłą.....”

Może usłyszysz tę prośbę Ten, który się dziś narodził! Także tu! Właśnie tu – w KL Auschwitz-Birkenau?

XVII. Elżbieta Sobczyńska „Ewakuacja obozu”

Jest bardzo mroźny i śnieżny styczeń 1945 roku. Zbliżał się front. Przestraszeni Niemcy pośpiesznie zacierają ślady ludobójstwa i ewakuują obóz.

W dniach 11, 16, i 17 stycznia 1945 roku pięć transportów warszawskich kobiet z dziećmi wysłano do komand obozu koncentracyjnego Sachsenhausen na terenie Berlina. Te kobiety i dzieci wykorzystano w SS Baubrygadach do pracy w fabrykach, budowie barykad i odgruzowywaniu miasta.

Warunki życia nadal były tragiczne. Nasilający się głód spowodował, że dożywianie się odpadkami ze śmietników było już koniecznością. Natomiast intensywne, a powtarzające się dniem i nocą naloty sprawiały, że obawa o życie bardzo wzrosła.

Dla pozostałych więźniów w obozie nie starczyło taboru. Ich pognano pieszo w tak zwanym „Marszu śmierci” do Wodzisławia Śląskiego, licząc na wyniszczenie słabszych.

Dla tych, którzy trud drogi przetrwali, dopiero na Śląsku podstawiono transport kolejowy, aby dowieźć więźniów do obozów koncentracyjnych na terenie Niemiec i Austrii.

Spora grupa wycieńczonych i chorych więźniów, których dalszy los nie był wiadomy, pozostała w obozie do momentu jego wyzwolenia przez Armię Radziecką 27 stycznia 1945 roku.

Z pośród nich, tylko nieliczni, zaraz po ucieczce esesmanów i przecięciu drutów ogrodzenia odważyli się na samodzielne opuszczenie obozu. Ci więźniowie, życie swoje zawdzięczają mieszkańcom okolicznych wiosek. Oni to pomagali przetrwać więźniom tych kilka krytycznych dni do wejścia Rosjan, chroniąc ich we własnych domach przed sporadycznie wracającymi Niemcami. Przykładem takiej bezinteresownej ofiarności może być górnicza rodzina Agaty i Jana Baraniaków z Brzeszcz. Ludzie ci, ryzykując własne życie, włączyli się z wielkim poświęceniem w łańcuch pomocy więźniom, ratując rodzinę Jerzego Ulatowskiego.

Najpóźniej, bo dopiero na przełomie końca kwietnia i początku maja 1945 roku, odzyskały wolność matki z dziećmi z komand na terenie Berlina i jego okolic: Köpenick i Mügelheim, a także więźniowie objęci wcześniejszą ewakuacją i marszem śmierci do obozów koncentracyjnych usytuowanych w głębi Niemiec i Austrii.

Narrator:

STEFAN SOT – mający wówczas 13 lat, uczestniczył w sławetnym marszu śmierci.

XVIII. Stefan Sot, numer obozowy 192705 „Marsz śmierci”

17 stycznia 1945 roku, późnym wieczorem, podczas siarczystego mrozu, po selekcji nienadających się do marszu, zostaliśmy wyprowadzeni z lagru. Dostaliśmy na drogę po bochenku chleba, puszkę konserw i kostkę margaryny na ośmiu. To wszystko. Podróż trwała osiem dni, z czego pierwsze cztery pieszo. Nocowaliśmy w różnych folwarcznych stodołach, gdzie się dało.

Pierwszej nocy wymieszaliśmy się z grupą więźniarek. Próbowałem dowiedzieć się, co z matką. Pytałem czy ktoś jej nie widział, ale żadna z nich nie potrafiła mi odpowiedzieć.

Rano pędzili nas dalej. Jeśli ktoś wyszedł z szeregu, albo nie nadązał i zostawał w tyle tego esesmani zabijali na miejscu, a ciało pozostawało na drodze.

Ja szedłem i wpatrywałem się w te leżące w śniegu zwłoki, bo wydawało mi się, że to może moja Matka!

Czwartego dnia dotarliśmy do Wodzisławia Śląskiego, gdzie dopiero zapakowali nas do pociągu. Bydłące wagony były zakryte, ale nam trafiła się odkryta węglarka.

Mieliśmy o tyle dobrze bo cały czas opiekował się nami nasz blokowy. Nie pozwalał nam podczas napierającego mrozu zasnąć. Ponadto na każdym postoju wdrapywał się na krawędź wagonu i krzychał „Tu polskie dzieci jadą”, a przygodni ludzie na peronach wrzucali nam jedzenie. Dary ustały, kiedy wyjechaliśmy poza granicę Polski. Toteż ogromna ilość jadących nie przetrwała znoju podróży tak z głodu jak i zimna.

Po czterech dniach spędzonych w otwartym wagonie, a był to już 25 stycznia 1945 roku dotarliśmy wreszcie do koncentracyjnego obozu w Mathausen, choć od stacji do jego bramy trzeba było jeszcze iść sześć kilometrów pod górę!

Do odzyskania wolności minęło jednak jeszcze sporo czasu. Nastąpiła dopiero 5 maja 1945 roku, a przyniosła ją nam Armia Amerykańska.

Narrator:

Tylko nieliczni dorośli więźniowie, a jeszcze mniej dzieci pozostało w obozie do momentu jego wyzwolenia.

Swoimi wspomnieniami podzieli się Barbara Pankowska, mająca 12 lat, uwięziona wraz z matką. Wyzwolenia przez żołnierzy radzieckich doczekały obydwie, po samodzielnym opuszczeniu obozu, schronione wśród ludzi, mieszkających w pobliżu Birkenau.

**XIX. Barbara Pankowska, z domu Grzegorzewska, numer obozowy 85747
„Ostatnie chwile uwięzienia i wyzwolenie”**

Ostatnie chwile w obozie Auschwitz-Birkenau wspominam z ogromną grozą. Wraz z mamą, chorą na serce, po przebytych zawale, jesteśmy zamknięte przez niemiecką obsługę w bloku szpitalnym, na tak zwanym rewirze.

Ja mam ropiejące krosty na ciele i ostre zapalenie dróg moczowych, powodujące dotkliwy ból i krwawienie.

Oprócz nas w bloku znajdują się inne, chore kobiety, leżące na pryczach, które odmawiają kolejne pacierze i litanie, a widok ich wyniszczonych twarzy i postaci budzi grozę.

Nie mamy żadnych szans, żeby wydostać się z tego zaryglowanego bloku. Boimy się, że skazane jesteśmy na wykończenie, bo obóz jest, jak przypuszczałyśmy zaminowany.

W pewnym momencie zaczyna się potężne i długotrwałe bombardowanie. Strach nasz się potęguje. Nadciąga front. Artyleria przerażająco „ryczy”. Od wybuchów staje się oślepiająco jasno, a łuny ognia coraz są bliższe. Nagle nastaje cisza i ktoś otwiera nasz barak. Wychodzę na zewnątrz boso, okryta tylko podartym kocem i widzę kilku półnagich mężczyzn, przecinających druty kolczaste. Byli to więźniowie rosyjscy. Radość z oczekiwanej wolności była tak wielka, że mimo śniegu i siarczystego mrozu, nie czułam ani zimna, ani bólu.

Nagle podszedł do mnie jakiś nieznanymi chłopiec, więzień jak i ja, dał mi rękawiczki, mówiąc, że pójdziemy szukać jedzenia i ubrania.

Było dla mnie ogromnym zaskoczeniem, gdy zobaczyliśmy otwarte wrota baraków, których było kilka. Zadziwił mnie widok każdego z nich, gdyż w jednym były tylko sterty włosów ludzkich, poupychane od podłogi do sufitu, w drugim tylko buty powiązane do pary sznurowadłami, w kolejnych tylko koszule, inna odzież, walizki i sterty fotografii. Gdy je zobaczyłam, wbrew logice, a w swej dziecięcej naiwności, usiadałam na śniegu z nadzieją odszukania wśród nich mego zdjęcia komunijnego. W końcu zgarnęliśmy do walizek trochę odzieży, buty i ciągnąc je po śniegu, wróciliśmy na rewir, Mama popłakała się ze szczęścia, że się wreszcie odnalazłam. Następnego dnia rano, w miarę ubrane, moja mama i ja oraz jeszcze dwie panie z rewiru, ruszyliśmy w drogę „na zachód”, oddalającą nas od obozu. Słysimy długo i powoli.

Dookoła tylko biały śnieg i kompletna cisza. Nasiliły się tylko moje dolegliwości z chorym pęcherzem i wielkie zmęczenie.

Nagle spotkało nas niespodziewane szczęście. Wiejskim wozem drabiniastym jechał mężczyzna, który nas zabrał i ulokował w piwnicy swego domu, mówiąc, że Rosjanie jeszcze nie weszli, natomiast pojawiają się Niemcy, rekwirują żywność, a mogą też nas zabić.

Kolejny ranek, nie wiem już który, obudził nas zapachem grochówki gotowanej w kuchni wojskowej oraz dźwiękiem harmonii i śpiewem „Kalinka, Kalinka”.

To była wolność!

Kilka miejscowych osób okazało nam serdeczną pomoc i opiekę. Nie pamiętam niestety ich nazwisk. Nie pamiętam też nazwiska rosyjskiego oficera, który ulokował nas w wojskowym samochodzie, jadącym w kierunku Krakowa. W Krakowie Polski Czerwony Krzyż skierował moją mamę do szpitala, a mnie do sierocińca, gdzie przebywałam dopóki nie odnalazł mnie Ojciec po powrocie z KL Sachsenhausen – Oranienburg.

Z wielką wdzięcznością wspominam tych wspaniałych ludzi i po stokroć najserdeczniej im dziękuję za okazane serce i odwagę. W moich wspomnieniach stanowią uduchowioną postać człowieczeństwa!

Moja ukochana mama Stanisława Grzegorzewska do zdrowia już nie wróciła, wolnością nie zdołała się nacieszyć. Zmarła na kolejny zawał serca w 1949 roku, mając 41 lat.

Narrator:

Selekcja przed „marszem śmierci” umożliwia wcześniejsze wyzwolenie. Henryk Duszyk, miał już wtedy 10 lat.

XX. Henryk Duszyk, numer obozowy 192692 „Ostatnie dni w obozie”

W pamiętny dzień 17 stycznia 1945 roku podczas dwudziestostopniowego, siarczystego mrozu zarządzono pieszą ewakuację obozu. Przygotowując więźniów do wymarszu kazano zabrać koc, trochę rozdane prowiantu i stanąć w szeregu przed barakiem. Przed samą drogą podjęto jeszcze pośpieszną selekcję najsłabszych.

Stałem w parze z bardzo małym, chudym chłopcem trzymając go mocno za rękę, pełen najgorszych obaw i już w tych okolicznościach nie chciałem opuszczać obozu.

Wnet lustrujący esesman baczynym okiem wyłowił malca z szeregu, a ja nie puszczając jego dłoni bezwolnie przeszedłem razem z nim na stronę wyłączonych z marszu.

Był to całkowity przypadek. Wolę nawet myśleć, że to cud i dar od Boga! Być może dzięki temu przetrwałem, i już za parę dni wyzwolony przez Rosjan mogłem cieszyć się wolnością.

Niemniej dla nas pozostawionych wtedy w obozie, wcale nie wydawało się to takie oczywiste. Wzmagał się w nas uzasadniony niepokój, co Niemcy zamierzają z nami uczynić, tym bardziej gdy do zgromadzonych w baraku zaczęło napływać ciepło wiejące od płonących opodal zabudowań „KANADY”.

Lecz dopiero po upływie trzech dni nastąpiło odprężenie, gdy stało się wiadomym, że w obozie nie było już ani jednego esesmana. Wtedy zaczęto rozgradzać poszczególne lagry przecinając pozbawione prądu druty.

Kiedy wyszedłem przed barak w pewnym momencie podeszli do mnie jacyś obcy, dziwnie ubrani na biało mężczyźni, a ja usiłowałem wyjaśnić im, że jestem więźniem. Był to zwiad rosyjski. Jeden z żołnierzy podarował mi dwie puszki konserw, a drugi kilka kostek cukru. Podzieliliśmy to z chłopcami pomiędzy sobą i zjedliśmy od razu. Niebawem rosyjskie wojsko zainstalowało kuchnie polowe. Następnie wszystkich uratowanych zaczęto wozami wywozić z Birkenau do oddalonego o 3,5 kilometra Auschwitz.

Tam w blokach byłego obozu zorganizowano szpital PCK. W przestronnych salach poustawiano masę łóżek, jedno obok drugiego. Zaczął się dla nas czas rekonwalescencji.

Zajął się nami sanitariuszki, a lekarze badali i opatrywali rany. Dano jeść nie za wiele, bacząc, aby po tym wygłodzeniu nie zaszkodziło. Opiekowano się nami ofiarnie.

W warunkach tego polowego szpitala PCK przebywałem do połowy marca 1945 roku, to jest do momentu gdy zaczęto stopniowo wysyłać nas do Krakowa, a dalej do własnych domów.

Wtedy musiałem polegać już tylko na sobie, dobrych ludziach i szczęśliwych zbiegach okoliczności.

Narrator:

Tych, którym udało się wojnę przeżyć, czekały jeszcze przeróżne, a żmudne powroty. Pieszo, chwilowymi podwodami, na dachach wagonów kolejowych, lecz wszystkie rozczarowywały zastaną pustką

Te pośpieszne, bardzo wczesne zazwyczaj do ruin, nierzadko oblepionych informacjami, których się spodziewano, zazwyczaj inspirowało szybkie odszukanie bliskich.

Te późniejsze, mniej zaradnych i schorowanych, nie zawsze docierały do Warszawy gdyż utykały w Polsce, przeważnie na ziemiach zachodnich.

Ale ten powrót, który wspomina kolega Henryk Duszyk był najtrudniejszy. Mając to na uwadze, pamiętajmy, że konsekwencje wojny dotyczą nie tylko innych.

XXI. Henryk Duszyk „Powrót do Warszawy”

Mój samotny powrót do Warszawy towarowym pociągiem, ale w towarzystwie polskiego wojska zorganizowany dzięki ofiarności i opiece przygodnego kolejarza nastąpił dopiero pod koniec marca 1945 roku.

Wysiadłem z niego na rogatkach Warszawy bliżej Ochoty, bo w tej dzielnicy mieszkałem.

Z bijącym sercem bardzo spieszyłem do mego rodzinnego domu. Domu, który ku memu przerażeniu okazał się całkowicie wypaloną ruiną!

Stałem bezradny wpatrując się w nieme zgliszcza, gdyż żadnej informacji od wcześniej przybyłych tu jego mieszkańców także nie było. Stałem zrozpaczony, zmarznięty i głodny, ale najgorzej, że SAM, a miałem już 10 lat! Stojąc tak zastanawiałem się, co z sobą zrobić i począć. Dokąd się udać i gdzie się podziać!

Pełen rozpacz, zacząłem szukać ludzi, kierując się ulicą Grójecką w kierunku Alej Jerozolimskich i tak dobrnąłem aż do skrzyżowania z Marszałkowską. Tam napotkałem dwóch żołnierzy. Jeden kierował ruchem. Podeszedłem do drugiego tłumacząc że wracam z koncentracyjnego obozu, nie mam rodziców, jestem sam i nie wiem co dalej robić. Wtedy żołnierz przyjaźnie ujął moją dłoń i zaprowadził na ulicę Poznańską do punktu zbornego PUR, skąd przekazano mnie na Stare Miasto, do księży. Tam dano mi jeść i schronienie, aby niebawem przekazać już do właściwego sierocińca.

I tak kolejne lata aż do pełnoletniości spędziłem w rozmaitych Domach Dziecka! Dziś z głębokim żalem stwierdzam, że wojna skradła mi dzieciństwo, a młodość pozbawiając rodzicielskiego domu obdarła także ze wszystkich mi najbliższych, zostawiając całkowicie samego na świecie. Ale już nie jestem sam. Założyłem rodzinę – mam żonę dwóch synów, troje wnucząt. Wszyscy mieszkają w pobliżu siebie. Cieszymy się naszą bliskością na co dzień. Mam także serdecznych przyjaciół.

Wreszcie dźwignąłem się z beznadziejnej samotności!

Narrator:

4. Zakończenie panelu wspomnieniowego

Na zakończenie tych smutnych wspomnień, wybrano bardzo wymowny wiersz naszej koleżanki **Barbary Przybylskiej z domu Zawodnej, nr obozowy 85076**, mającej wówczas 13 lat, uwięzionej z matką. Autorka z powodu choroby dziś jest nieobecna. Jej wiersz, odczyta nasz obozowy kolega – Jerzy Ulatowski.

Gdy zasypiam wieczorem boję się spojrzeć w okno

aby nie zobaczyć języków ognia

które nad Auschwitz – Birkenau

z kominów krematoriów w niebo się wzbijają

jakby prosząc o przebaczenie dla tych,

którym szatan rozum odebrał

i tak okrutnie paląc ludzi

Narody wyniszczają

Gdy dzieci wystraszone, ogolone, gołe

za mamą i domem cichutko płakały

to szubowa Maria S.

bijąc nas gałęzią umaczaną w kiblu

„ruhe” tak głośno krzyczała:

„wasza droga do domu przez komin

wy będziecie białym dymem

nad Polską latały

Gdy zasypiam wieczorem nawet gdy zamknę oczy

oglądam języki ognia,

które nad Oświęcimiem w górę się wzbijają

Ten zaduch palących się ciał i włosów...

To prawie pół wieku minęło –

a życia w spokoju

w zgodzie z samym sobą i światem,

te wspomnienia wcale nam nie ułatwiają

Gdy ze strachem się ocknę
z mego zasypiania
i nieprzytomnym ogarnę pokój mój spojrzeniem
-to te dziecięce obozowe noce
i koszmar tamtych dni
jest tylko okrutnym wspomnieniem

To koszmar Auschwitz – Birkenau

koszmar który,

przez lata całe – wcale się nie zaciera.

Tylko czym jestem starsza, tym mocniej

tam głęboko gdzieś w środku

tak bardzo mi doskwiera.